

Jezierski Michał

INTRYGNA WŁÓCZĘGÓW

Codzień przed naszym okiem świeże mogiły czernieją, stopa depce kości pradziadów, jednak myśl nie oswaja się ze strasznym obrazem śmierci. Jeśli kto nieszczęściem patrzył na zgon wielu ludzi, przyzna, iż prócz tajemniczego, religijnego wrażenia, każda z osobna chwila śmierci, odmienną rani nas boleścią. Ta, która stanowi początek mej powieści, nie razi okropnością, nie napełnia trwogą; cicha jak łzy co ją oblewają, spokojna, prędką jak lot spadającej gwiazdki, łagodna jak sen pierwszego człowieka gdy wyobraźnia nic mu prócz nieba przedstawić nie mogła. Śmierć to szczęśliwa! Ale czyż nie rozdziera serca? czyliż ofiara boleści, bez łez krwawych, dojdzie do Boga? Patrzcie! Odślonię wam pierwszą kartę dziejów dwojga ludzi, szczerą, prawdziwą, bo spisaną z księgi ich żywota.

W niewielkim pokoju, lampa nocna rzucała migające światło, bladym promieniem oświeca- cała schorzałą twarz dziecięcia. Spokojnie leżało na małym łóżeczku, długie jasne włosy jakby złocistą tkanką oblekły białą poduszkę, w jednej ręce trzymając krzyżyk złoty, w drugiej jakąś dziecinną zabawę, spoczywało we śnie głębokim; oddech krótki, ostry i zapadłe oczy o- strzegały tylko o niebezpiecznej chorobie.

Przy łóżku dziecięcia, nanizkiej sofie, siedziała matka; wsparła głowę o poręcz łóżeczka, znużona myślami, łzami, i kilkonocną bezsennością, usnęła. Cichość grobowa, zdaje się inożnaby usłyszeć każde gwałtowne uderzenie pulsu dziecięcia, każdy oddech matki; jakaś błoga- spo- kojność, nieznana od dni kilku, rozlała się w ma- , tym dziecinnym pokoju. Zegar w odległym ku- rylarzu północ uderzył, i w sennem widzeniu matki zajaśniało niebo w całym swym blasku i na' wysokościach, w słupie obłoku, jak lilią mię- dzy róż wiankiem, ujrzała Bogarodzicę otoczoną chórem aniołów, i między nimi, w piękniejszym uroku nad wszystkie ziemskie istoty, spostrzegła twarzyczkę swego dziecięcia; w jednej ręce trzymało gwiazdkę a w drugiej koronę cierniową, spuściło ramiona ku ziemi jak gdyby z niebios niosło dar swej matce.

Jęk dziecięcia spłoszył senne widziadła z ócz matki; przebudzona myślała, że jeszcze na jawie krążą koło niej aniołowie, że w wianku z chmurek różowych widzi uśmiechającą się twarzyczkę swego dziecięcia, ale jęk powtórzony przebudził z omamienia. Zerwała się i okiem strwożo- nem badała cierpienie syna. Dziecię podniosło ramiona i objęło szyję matki; po chwili zemdlone ręce opadły, bledłość rozlała się po twarzy i członki konwulsyjnie drżały. Matka wydała krzyk przestachu i boleści. Wszedł z przyległego pokoju doktor, badał symptomata i kiwnął głową.

– Ealuj Pan moje dziecię 1 wołała ze łzami matka.

– Słabość bierze zły kierunek, woda mózg oblała, ratunek trudny, odpowiedział doktor.

W tej chwili wszedł mężczyzna trzydzieści kilka lat mający, ubiór jego dowodził, iż choć dawno północ minęła, nie myślał jeszcze o spoczynku; spojrzawszy na doktora i w oczach jego wyczytał straszną odpowiedź. Już nie ma ratunku! Noc cała upłynęła na troskliwych staraniach, a gdy ludzkie zabiegi okazały się bezsilnymi, wszyscy przytomni upadli na kolana i modlitwą chcieli wyżebrać cudu, bo każdego serce przeczuwało blizkie pojawienie się śmierci. Cudem tylko mogło być wyratowane. Któż zbada wyroki Boże, niepojęte dla ludzi Jego zrzędzenia! Dziecię nazajutrz umarło.

Mężczyzna był ojcem dziecinka, całą oznaką bólu było kilka łez co się stoczyły po bladym jego licu, głębszy badacz i znawca w całym wyrazie twarzy Stanisława odczytałby w tej chwili straszne, okropne dzieje jego serca, ujrzałby nagą duszę bez tej ziemskiej, nikczemnej powłoki co nazywamy ciałem.

Świat za przykład ziemskiego szczęścia stawił dom pp. Ludomskich, bp Julia i Stanisław posiadali wszystkie warunki do ziemskiej pomyślności: młodzi, bogaci, cnotliwi, dobroczyńni, kochani od wszystkich, zdawało się, że niebo ubłogosławiło dwoje ludzi wybranych, że uposażyło ich największą szczęśliwością. Poznajmy ich bliżej i, jak zwykle, odśłońmy bezkarnie tajemnice życia, ciekawym okiem wnijdźmy do serca, do tego ołtarza uczuć, i jak dziecię cackami, pobawmy się myślą, czuciem, wypadkami co ich tyle łez krwawych kosztowały. Nie wahajmy się dotknąć cudzych tajemnic, dyssekujmy mózg i serce, aby poznać nagą rzeczywistość. ' Nim ujrzymy losy Stanisława z Julią połączone, obaczmy jego przeszłość, która tak często wywiera wpływ na życie nasze całe. Opowiem .więc wam epizod z pierwszej jego młodości.

Co sobie w życiu może obiecywać, Trudno wytłumaczyć, i straszno zgadywać* Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona, Dość, na cóż ją zrywać z ranionego łona; Wszystko on już postradał....

Mart/a. Malczeski-

Stanisław Ludomski był synem bardzo możnych rodziców. Staranne wychowanie wykształciło rozum i serce. Dzieciństwo upłynęło pod surowym okiem matki; zajęta sobą tylko, intrygami i światem, nie była zdolną oddać mu całe macierzyńskie serce. Ojciec choć czasem popieścił, to te chwile, tak potrzebne dla każdego dziecięcia, były rzadkie, musiały być okupione cierpką wymówką żony: że syna psuje, że sam gotuje mu nieszczęście. Stanisław odbywszy nauki w kraju, słuchał kursu filozofii w Getyndze i Berlinie. Mimo przeświadczenia o wysokiej zdolności swych mistrzów, żywioł spekulacyjny germańskiej filozofii nie mógł z całą siłą wszczepić się w umysł młodzieńca. Gorzała w nim żywa wiara zrywająca tysiące nici pajęczych zasnutych z licznych systematów filozofii. Wiara w nim była przeświadczeniem i poznaniem, ogniwem łązącym wolę ludzką z wolą Boską, pierwiastkiem zamykającym w sobie zasady prawdziwego życia. Czuł on, że wiara poprzedzała i kończyła [czyła w nim poznanie, że będąc pierwiastkiem bytu i istnienia, jest zasadą i całością naszego przeświadczenia i poznania, że jest podstawą praktyki i teorii. Przeświadczenie i poznanie ■ zasadzało się u niego na wierze. Ztąd pierwsze fundamentalne słowo filozofii niemieckiej Cogito, ergo sum, brzmiało opacznie w jego duszy przeświadczeniem Sum, ergo cogito. Nauka więc filozofii zrażając go ciągłym śledzeniem i drobiazgowym badaniem, nie zwichnęła umysłu i nie zacięła duszy. Poznał, że sam czysty rozum nie jest dostateczny do rozwiązania wszystkich kwestyi ducha; że formuły, systemata, a nawet sama mądrość którą Bóg obdarzył człowieka jako środkiem do poznania Jego, nie zawiera w sobie całej siły ogarnienia Stwórcy/ Ustaliła się

w nim myśl chrześcijańska i polska, iż Boga bez Boga pojąć niepodobna. Po skończeniu nauk w uniwersytecie, życzeniem było rodziców, aby lat parę poświęcił podróżom. Jakoż zwiedziwszy całe Niemcy, płynął malowniczą wstęgą Renu; przebiegło przed jego okiem całe cudowne panorama czarodziejskich pobrzeży. Zwiedził Szwaj- caryą, odetchnął na szczytach gór niebotycznych, powietrzem innych sfer, jakby innego świata. Uśmiechnęła się mu wesoła Florencia. O- wiany wiecznie kwitnącemi lasy, zapachem łąk 6powietrza, przyplłynął do miasta z marmuru, do zaczarowanego grodu, do pałacu Neptuna pływającego po morzu. Widok Wenecyi zdziwił i zachwycił Stanisława, postanowił dłuższy czas w niej zabawić; jakoż i wypadki różne przez rok cały go tara zatrzymały. Pierwsze dni, jak zwykle, poświęcone były zwiedzaniu wszystkich miejscowych osobliwości, pamiątek historycznych. Cała przeszłość Wenecyi zmartwychwstała "w jego umyśle. Widział jej potęgę, tajemne zbrodnie i upadek. Cienie dożów przesuwaly się w pałacu z żółtego marmuru; słyszał jęki konających po więzieniach, pluśnienie wody przyjmującej na dno ofiary intryg i przemocy, to znowu przez pych i dostatek zaślepiął jego zmysły; a tak smutna i pusta dziś Wenecya, była dramatycz- ną i ludną w jego wyobraźni. Na statku, który go przywiózł do Wenecyi, poznał się Stanisław z p. baronem Traze. Po zajmującej i ciekawej rozmowie barona o licznych podróżach odbytych w dwóch częściach świata, po zwierzeniu różnych przygód życia, zawiązała się między nimi dobra zażyłość, z której Stanisław postanowił w czasie pobytu swego w Wenecyi korzystać, zwłaszcza, iż pan baron szósty raz zwiedzając te miejsca, mógł być doskonałym i umiejętnym przewodnikiem. Jakoż był on w Wenecyi nieodstępnym towarzyszem Stanisława. Leciły dni prędko i wesoło; po dwumiesięcznym jednak pobycie czuł się Stanisław znużonym; pełen był życia, chciwy nowości. Monotonna Wenecya zaczęła tracić wdzięk uroczy; zamyślał wyjechać do Rzymu. Baron rad był zatrzymać go, wynajdował różne środki, aby przedłużył swój pobyt. Jednego wieczora udali się razem na plac ś-go Marka: tłum ludzi krążył nieustannie, cała ludność skupiona na tym jedynym placu zażywała pieszej przechadzki. Stanisław z ba

ronem usiadłszy na ławce, wprost pałacu dożów, wiedli następną rozmowę.

– Wiesz, Baronie, rzekł Stanisław, że mam stałe postanowienie za dwa tygodnie opuścić Wenecją. – Smutno mi patrzeć na te olbrzymie marmurowe groby; póki moja wyobraźnia zaludniała je ludźmi dawnej potęgi i chwały, u- nosiłem się nad każdym prawie kamieniem, będącym pewno niemyym świadkiem jakiegoś wielkiego drammatu, lecz widma te znikły; i dziś Wenecya, w mych oczach, niczem nie jest tylko wielkim cmentarzem.

– Masz z jednej strony słuszność, Panie Stanisławie, odrzekł Baron, lecz z drugiej strony, w tych grobach ludzie żyją i nie są nikczemnymi grobowymi robakami, są to istoty może większej mocy ducha jak ich poprzednicy. Widzisz to małe okienko z kratami żelaznymi w pałacu dożów; tara prawdziwie w grobie czterolokcio- •'wym drammat się odegrywa i na nieszczęście pewno zakończy się śmiercią.

– Jak to ! zawołał Stanisław, więzień Stanu?

– Tak jest, następca Silvio Pellico i Maron- czellego.

– Czy nie ma dla niego ratunku? po niejakiem namyśle zapytał Stanisław.

– Czynię mym wpływem, stosunkami, co mogę, odrzekł Baron, lecz jeszcze nie mam nadziei ; dla tej nawet sprawy radbym przez miesiąc jeszcze tu zabawić; a później złączymy się w Rzymie.

– I ja bym pozostał, jeśli pomoc moja na co przydać się może. Czy środki piśniężne dopo- iiiódz mogą tej sprawie ?

| I Oczy barona zaświeciły blaskiem niewypowiedzianym , lecz jakaś rozważa zagłuszyła objawione uczucie; po chwilowem milczeniu rzekł:

–..... Jutro ci na to odpowiem: muszę pierwśj..

Gdy baron kończył te słowa , kobiéta w czarnej sukni, obsłoniéta do kolan czarną lekką zasłoną, stanęła przed nimi. Stanisław zdumiony piękną postawą, wlepił oczy w twarz nieznajomej i mimo zasłony dostrzegł dwie pałające czarne źrenice. Odurzony blaskiem jej- lica, na którym wyraz dobroci i smutku się rozlewał, wstrząsł się jakby przed jakim cudownem widziadłem. Nieznajomą pochwyciła rękę barona i oboje spiesznym krokiem w załomie ulicy, znikli. snbÓS

Stanisław z razu chciał biedź za nimi, potem się wstrzymał; siadł na dawnym miejscu pogrążony w głębokim zadumaniu. Pierwszy to raz uczuł Stanisław całą potęgę wejrzenia, zdrętwiał prawie, a serce mu biło gwałtownie; ta para ocz czarnych, ognistych, ciągle błyszczało przed nim; czuł, że wejrzenie tej kobiety wypiętnowało się mu na sercu. Do północy siedział nieruchomy czekając na barona, lecz gdy oczekiwanie okazało się daremne, udał się na spoczynek do swego pomieszczenia. Przez noc całą oka zmrużyć nie mógł.

Nazajutrz z rana, baron jeszcze w łóżku zastał Stanisława; pierwsze słowa jego były.

- Co to za kobieta, którąś uprowadził z sobą, Baronie ?
- Znajoma mi oddawna ? z udaną obojętnością odrzekł Baron.
- Może.... nie dokończył i pobladł Stanisław.
- Myślisz zapewne, że intryga miłośna, uśmiechnąwszy się, przerwał baron:

mylisz się, jest to godna i nieszczęśliwa kobieta, obdarzona wszyt-> kiemi przymiotami duszy i ciała, pełna zapału, poświęcenia, a z tem wszystkim nieszczęśliwa 1

– Jak się zowie ? zapytał z żywością Stanisław. Czarno ubrana, w żałobie, może po stracie męża lub rodziców?

– Żałoba jej po żyjącym. ¹ – Po kochanku ?

Nip.

– Ach, Baronie! wyświeć mi na koniec tę tajemniczą kobićkę.

– Jest to hrabianka Franciszka Orboni, córka więźnia o którego zamknięciu w pałacu dożów wczoraj ci wspominałem.

– Na jakim stopniu sprawa jej ojca?

– Prawie żadnej nadziei; zabiegi moje na nic się nie przydały; ulegnie karze śmierci.

Stanisław się zamyślił i wyciągając rękę do i Barona, jakby błagając go o ratunek rzekł.

– Trzeba wynaleźć środek ocalenia.

. – Jest jeszcze jeden, odpowiedział baron wpatrując się pilnie w oczy Stanisława, jest jeden środek, lecz i ten prawie niepodobny, wymaga wielkiej ofiary, a w dzisiejszem położeniu hrabianka Orboni tego rodzaju pomocy dać nie może.

– Q cóż więc idzie ? przerwał niecierpliwie „ Stanisław.

Intryga W^O ²

- O cztery tysiące dukatów.
- Będziesz je miał, Baronie, z radością wykrzyknął Stanisław, byle nam ocalić tylko hrabiego, a przytśm pobudzisz mnie do najżywszej wdzięczności.
- Wdzięczność nasza będzie twoją zapłatą, rzekł baron, gdyż byłem oddawna w najściślejszej przyjaźni z całym domem hrabiego, a los jego tyle mnie obchodzi co własny.
- Dziś, Baronie, musisz mnie przedstawić hrabiance.
- Najchętniej: Uwiadomię ją wprzód o nadziei ocalenia ojca, jej radość będzie bez granic. Teraz odważnie i czynnie muszę wziąć się do dzieła.
- Przez dzień cały Stanisław był w największym niepokoju, czekał upragnionej chwili poznania się z Franceską, co kwadrans spozierał na zegarek, skronie mu się paliły, był w stanie gorączkowym, a dwoje ocz czarnych, ognistych, ciągle przed nim świeciło. Po odbytj całej męczarni oczekiwania, słońce tonęło w morzu, a Stanisław uszczęśliwiony, że dnia się pozbył, "uściskał po bratersku wchodzącego barona. W pół godziny obaj byli w pałacu Orboni. Nigdy wielkie silne uczucie nie rozżarzy się w jednej tylko duszy, zjawienie się jego wspólne, jednoczasowe, w dwóch sercach, jakby przeinaczonych dla siebie. Stanisław i Franceska . spotkali się jakby dwie istoty znajome, serca były zgodnie, wejrzenia były wymowniejsze nad słowa. Mimo to jednak mało z sobą mówili. Ciotka Franceski przyjęła Stanisława z macierzyń- skiem uczuciem, widząc w nim wybawcę swego brata. Odtąd Stanisław był codziennym gościem. Baron rzadko widziany snuł z rozwagą plan najpewniejszy oswobodzenia hrabiego Orboni. Przez miesiąc starań i zabiegów, wyjednał sobie pozwolenie widywania się z więźniem, co w Wenecyi było rzeczą trudną, prawie niepodobną. Po tym pierwszym pomyślnym kroku, wszyscy złożyli nadzieję w przebiegłości barona, oczekując najlepszego rozwiązania. Franceska była mniej smutna, widziała w Stanisławie zbawcę ojca od nieuchronnej śmierci, z zachwyceniem więc, z zapalem, z ognistym sercem, córom nieba włoskiego właściwem, dała wolny bieg rosnącym uczuciom. Pierwsza miłość, silna, ognista, nowy. świat szczęścia odsłoniła przed Stanisławem, dziękował Bogu że jest najszczęśliwszym

z ludzi. Nie pojmował świata, życia, szczęścia bez ukochanej Franceski. Choć był pewnym jej miłości, lecz przyszłość osłaniała go trwogą. Czuł się w obowiązku donieść rodzicom o swym szczęściu, prosić o zezwolenie i błogosławieństwo rodzicielskie. Obawa, jak najdotkliwsza zgryzota, trawiła jego biedne serce. Dwa miesiące, które jak dwa wieki długimi mu się zdały, czekał na odpowiedź rodziców, a jednak gdy pismo doszło rąk jego, dzień cały nie śmiał zerwać pieczęci, która zerwać mogła, na zawsze, rojone, wypuszczone szczęście. Z drżeniem serca list odczytał i jak dziecko rozplakał się z radości, gdyż jego Francesca mogła już być jego na wieki. Otrzymał tylko rozkaz, aby po ślubie wraz z żoną wracał do kraju. Nic do szczęścia nie brakowało, czekano tylko na oswobodzenie hrabiego.

Pewnego dnia zjawił się baron Trazc w pałacu Orboni oznajmując Stanisławowi i rodzinie hrabiego, iż zamiar ucieczki z więzienia został zmieniony, gdyż otrzymał najwierniejsze zapewnienie, że za jego staraniem hrabia wyrokiem sądowym oswobodzonym zostanie. Otrzymałszy z rąk Stanisława żadaną sumę na ujęcie osób mających przeważny wpływ na losy hrabiego,

z pośpiechem wychodził kończyć dobroczynne - działanie. Serce córki i siostry dostrzegło zmieszanie na twarzy barona. Struchlały "i ze złożo- nemi rękami, ze łzami w oczach prosiły, aby ich upewnił o zdrowiu hrabiego. Baron dość długo nie dawał odpowiedzi* Po niejakej chwili rzekł głosem uręczającym,

i – Hrabia zdrów, uręczam, ale upadł na duchu, f – Za kilka dni będzie wolnym, duch jego się f: wzmoże; obie razem wykrzyknęły kobiety.

Zastąpiłem go wczora w stanie okropnym, rzekł baron, nie chce wierzyć swemu oswobo- v dzeniu, znudzony życiem zamyślał o samobójcy stwie.

Ciotka i Francesca krzyknęły zpizestraohu i oblały się łzami. Stanisław wziął na stronę ba* & rona, długo z sobą rozmawiali, po czym rzekł K głośno:

t-tt Baronie, nie trać czasu, leć i działaj, fe–Lecę, odrzekł baron, daję słowo, że za dwa dni hrabia będzie wolny.

I znowu nadzieja szczęścia ożywiła wszystkich serca. Stanisław opowiadał im o Polsce, o zwyczajach, o swych rodzicach, Francesca słuchała z zadowoleniem.

Ciotce nieraz łzy się

o*

w oczach zakręciły na myśl rozłączenia się z synową, którą kochała jak rodzoną córkę. Kochankowie byli weseli, czekali tylko uzupełnienia szczęścia w oswobodzeniu hrabiego.

Gdy Stanisław odszedł do swego pomieszkania, zegar świętego Marka północ uderzył. Tylko co sny urocze zaczęły go kołysać i dwoje ocz czarnych ognistych zabłysło w jego rozbujanej wyobraźni, stukot silny u drzwi pomieszkania rozproszył senne widziadła, usłyszał głośnie stąpania po schodach, z trzaskiem drzwi się pokoju rozwarły i ujrzał przed sobą twarz bladą, trupią barona, usta mu drżały i ledwo mógł wymówić stłumionym głosem.

–..... Stało się: sprawdziły się moje przeczucia; przed godziną w więzieniu ... hrabia Orboni odebrał sobie życie trucizną.

– Boże! co za cios dla biednej Franceski! Stanisław nic więcej wymówić nie mógł, zbladły mu usta i drżał cały.

– Ja dziś jeszcze opuszczam Wenecję, rzekł baron. Nie mam siły być świadkiem rozpaczki biednej Franceski, oznajm jej o okropnym wypadku. Szczęśliwa, że w tobie przynajmniej znajdzie opiekuńczego anioła. Starania moje były jak najszczersze, wyjednałem wyrok uwolnienia, który dziś miał być napisany. Pieniądze twoje zdołały zmiękczyć surowość sędziów. Wszystko było gotowe do uwolnienia hrabiego; teraz "wszystko stracone, i moje zabiegi, i twa ofiara, i życie hrabiego. Żegnaj cię! dłużej nie naggę pozostać w tern okropnem mieście. Silnie ścisnął dłonie Stanisława, wybiegł na ulicę i tylko pluskanie wiosł najętej gondoli obito się

o uszy stojącego w osłupieniu Stanisława.

Nazajutrz musiał Stanisław zebrać wszystkie siły, by udać się do pałacu Orboni, gdzie wszyscy razem w tym dniu oczekiwać mieli powrotu hrabiego. Mimo całej walki wewnętrznej Stanisława, by pokryć w przytomności Franceski boleść rozdzierającą serce, jego bladość, łzy nawet, mimowolnie cisnące się do powiek, zdradzały straszną, okropną tajemnicę. Umysł Franceski, zajęty ciągle nieszczęśliwym ojcem, przeczuł sieroctwo. Cała drżąca, wpatrując się w blade lice kochanka, krzyknęła głosem przestachu.

1 – Gdzie mój Ojciec!

Prerażający wyraz twarzy Franceski, głos rozpaczki rozdzierał mu serce. Odpowiedź zamarła mu na ustach, stał jak głaz grobowy,

na którego czole zapisano chwilę zgonu zmarłego. Biedna Franceska wyczytała wieść nieszczęsną na licu kochanka.

–r- Mój ojciec nie żyje 1 krzyknęła załamawszy ręce.

– Bóg niech twe sieroctwo pociesza, rzekł ze łzami Stanisław*

– Nie żyje! nie żyje! kilka razy powtórzyła Franceska, Zmysły jej się zamęciły, zmieszały, i padła zemdlona na ręce kochanka. Nazajutrz objawił się stan gorączkowy. W umyśle został tylko jeden obraz śmierci ojca, na ustach jeden tylko wyraz „nie żyje!” Nerwowa gorączka chci-^ wie pożerała ostatnie siły i dnia dziewiątego, w przesileniu choroby, biedna Franceska, w przy* lomności nieszczęśliwszego jeszcze Stanisława,- umarła.

W pół martwy, w stanie rozpaczyny opuścił Stanisław Wenecją; dzień i noc leciał jakby ucie- kając od smutnego obrazu, lecz rączsza myśl nad polot ptaka zagłębiała "swe szpony w mózg i serce. Nie prędko łzy przybiegły w pomoc odwilżyć najdotkliwszy suchy ból rozpaczyny. Za niemi modlitwa zdołała rozpacz przemienić w cierpienie. Po niejakiem czasie, nie zatrzymując się na chwilę w podróży, ujrzał się w murach odwiecznego Rzymu. Ta święta stolica, ten gród tylu męczenników, silne wrażenie zdziałał na umyśle i sercu Stanisława. Poznał, że szczęście jego nie na ziemi, że długa droga jego życia będzie drogą męki, że wieńcem jego młodzieńczych skroni będzie korona cierniowa. Wiara ,iwszczepiona z dzieciństwa rozświeciła się promiennym blaskiem, lecz twórcza młodzieńcza wy- i obraźnia, przywykła do badań, roztrząsań i kom- gbinacyj, otworzyła przed nim świat mistyczny, i tajemniczy świat ducha widomie mu się objawił. Zagłębiał w marzeniach, często widzenia i trapiły lub rozweselały serce. W czasie pobytu w Rzymie nowy cios spadł na jego głowę: była ; to wieść o śmierci ojca. Spieszył do kraju, aby • łzą synowską uczcić mogiłę ukochanego rodzi- . ca. Przyjechawszy do Wiednia, musiał tam do dna wychylić kielich swej męki, dowiedział się o nagłej, wypadkowej śmierci matki. Po tym ciosie postanowił nigdy nie wracać do kraju; zamyślał o sprzedaży majątku i zamieszkaniu na zawsze w Rzymie. Dnia pewnego zjawił się nie- spodzianie pan baron Trazc; spotkanie było najboleśniejse dla Stanisława, lecz baron taką pie

czołowitością przyjacielską go otoczył, tak u- miał goić zbolące serce, przedstawił ile potrzebnym być jeszcze może dla ojczyzny, dla dobra rodaków, jaką znajdzie jeszcze rokosz w udzielaniu szczęścia drugim, iż skłonił Stanisława do powrotu do rodzinnej ziemi, a chcąc dać dowód swej przyjaźni, postanowił mu towarzyszyć. Stanisław zniewolony poświęceniem się przyjaciela, zwalczony trafnymi uwagami, a miłując jeszcze ?ałem sercem kraj i rodaków , po niedługim po- bycie w Wiedniu, wrócił w towarzystwie przyjaciela do rodzinnej wioski.

Oto w krótkim obrazku odbita smutna przeszłość Stanisława. Wróćmy do biegu naszej powieści, a ujrzymy terazniejsze usposobienie jego ducha.

WIBIESIE czy

Lecz klóź byt ten człek mały, z okiem zapłakany?

Czy duchem jego losu? aniołem? szatanem?..^ Mart/a. Malczewski.

I Bolesny jest stan duszy po utracie wiary w szczęście tej ziemi. Jest to śmierć straszna, ciężka. Szczęśliwie gdy jeszcze żyć można dla gfhigich! – Jeśli chwila pomyślna zabłyśnie, to jak słońce zimowe świeci, lecz nie ogrzeje, nie oży- wh Tacy gdy nie upadną na duchu, żyć mogą [tylko duchem, za życia odrywają się od ziemi, tworzą wśród ludzi świat drugi, nieznany dla wielu. żyją więc nie poznani. Stanisław był jednym z tych ludzi, zapomniał o sobie, żył w poświęceniu się dla drugich. Dusza jego przyzwyczajona do marzeń, doszła do wysokiego stopnia [oderwania się od ciała. Wyobraźnia jego wykształcona, każdą myśl większą wcielała w du-

chowe postaci. Żył pod wpływem tych zjawisk nadprzyrodzonych, które choć nie zbadane, lecz; trudno zaprzeczyć ich wpływowi. Są cuda niepojęte, nadprzyrodzone. Stanisław żył w świecie tych cudów.

W kilka dni po doznaniem nieszczęściu, po śmierci jedyne go dziecięcia* Stanisław zamknięty w swoim pokoju siedział w głębokim wy- godnem Krześle. Zatopiony w myślach, chciał rozwikłać pamięcią kłębek ciągłych boleśnych wypadków swego życia; badał przyczyny nieszczęść, badał po ludzku, nie mógł więc pojąć cierpienia które go darzyło. Po długim dumaniu zamknął powieki, natężył wzrok i słuch ducha, skupił wszystkie władze duszy i wnet nadprzyrodzone zjawiska snuć się zaczęły przed wzrokiem wewnętrznej jego istoty. Nie pierwszy raz natężeniem ducha przenosił się w świat nieznanych cudów. Porwany wirem wyobraźni, migwały przed nim różne obrazy lat już przeżytych, oddalały się* bładły, i znów inne nadbiegały. Jakby po falach ducha jego przepłynął cały potok życia, nurzał się w przeszłość i zaludniał wyobraźnię niezmiernymi istotami. Dwie postaci stanęły przed marzącym Stanisławem. Pierwsza twarz mężczyzny, niemiłej, oczy pełne przebiegłości, czoło wyniosłe, nos orli, usta ściśnięte, cechowały pychę i szyderstwem. Obok druga postać anielska, przejrzysta jak obłok, łagodność i pokój rozlany na licu; z pod- długich rzęsów dwoje oczu czarnych ognistych, jaśniało blaskiem uroczym. Wśród owego zjawiska duch Stanisława się natężył, a ciało drętwiało, pierwsza postać z szyderskim uśmiechem i z udaną czułością ozwała się do Stanisława: Ł, – Twa łza boleści kogóż nie zasmuci? kogóż przedwieczne nie oburzają sądy? Czyliż w cierpieniu cała mądrość świata? Czyliż nieszczęścia .celem są żywota? Po cóż dar życia, gdy jego owocem—zdrada, nienawiść przystrojone w cnotę? Całe jestestwo—trafem lub igraszką, a jedną prawdą, – wątpliwość, nicestwo.

Głos czysty, wdzięczny jakby pieśń urocza, wypłynął z ust anielskiej postaci.

– Sprawiedliwe sądy Boże! On choć karze lecz miłuje. Bóg mądrością, Bóg miłością wiekuiłą, nieśmiertelną. Za łzę każdą tu wylaną— odkupienie i nagroda, grosz tu dany braciom W nędzy, Bóg dla siebie za dar liczy i odpłaci ci w niebiosach. Kochaj, miłuj z całej mocy; HIntryga 3

bo miłością Boga pojdziesz, bo miłością Jego uczysz, bo. kto kocha, kto miłuje, temu wiele Bóg przebaczy.

Ledwo mógł dosłuchać odpowiedzi mniemany młodzieniec. Kręcił się jak wąż na miejscu, oczy mu się iskrzyły, zatykał uszy, jakby każde słowo elektrycznie go wstrząsało. Przybrawszy udaną spokojność, rzekł łagodnie.

– Po cóż nam z ziemi świat duchowy- tworzyć? Człek z ziemi powstał, ziemia mu ojczyzną. Szczęście – cel życia, rozum – przewodnikiem. Rozum – pan ziemi: on uzacnił człeka, o władnię! światem i twórczości siłą podbił zarazem i ziemię i niebo.

Bluźnisz czarcie! przerwała anielska postać. jPychą zatruć chcesz mu serce, aby łatwiej wciągnąć w piekło. Precz, szatanie !

Po tych słowach, postać mniemanego młodzień-. ca zaczęła tracić ludzką powierzchowność i zmieniał się w obrzydłego szatana, strzępnęła rękami nad czołem Stanisława, który schylił głowę. Znać, że wszelkie czuwanie zmysłów w nim, bardziej stępsiało. Okazał się szatan w naturalnej swej brzydocie i rzekł przeraźliwym głosem:

SZATAN.

' Wszelkie życie w nim Uspiałem, już nie Wniknie głos twój w serce; próżno siejesz ziarna Wry, kwiat pokusy wdzięczniej płonie, niżli tWojfe mdłe nadzieje. Znasz potęgę ziemi, świata, czarujące są ich Sidła; Wszystkie skarby mu otworzę: lubieżności, pychy, dumy, ja mu niebo z ziemi stworzę 1 zapomni o twem niebie.

ANIÓŁ.

« Choć WśFód ziemi fczfek jest ziehlią, lecz nie 'pbmniż, że w nim płonie nieśmiertelna iskra życia. Ona prawdę w nim rozświetla, śmiało zde- pce twe pokusy, bo nicestwo nie nasyci nieśmier- llelnej jego duszy.

SZATAN.

Gdy odrzuci me rośkosze, znękam jego du- szę, tysiąc cierpień zadam sercu, tysiąc nieszczęść dźwigać będzie; pod ciężarem ich upadnie. Kiedy serce mu rozedrę, krew ta zbry- -zga jego duszę i wylęgnie plód robactwa, i wyniszczy i splugawi.

A NIÓŁ.

Miłość, Wiara, doda siły, by męczeńskie znieść katusze. Błogosławi Bóg cierpienie, błogosławi nieszczęśliwych i łażka tu wylana o nagrodę wołać może, one, jakby gwiazdy w niebie, otaczają skronie Boże.

SZATAN.

Więc go popchnę w piękne czyny, miłość ludzi w nim rozżarzę, a gdy ona się rozplonie, zamieni w poświęcenie, wtenczas miłość ta go struje, ludzie rzucą nań kamieniem, a on blu-źnierstwem na Boga.

ANIÓŁ.

Bóg cię strącił w przepaść nocy, a niewiasty święta stopa dumną głowę ci zdeptała. Twoja władza w państwach piekła, nie zostaniesz panem ziemi. My na krańcach stojąc światów, od podstępów i twych sideł zasłonimy ludzkość całą, a tę duszę, którą strzegę, oddam Bogu nieskażoną. , ..

SZATAN.

W.Ciemność wielka, jak i światło, ciemność zaćmić może słońce. Chętnie walkę rozpoczynam, a ujrzymy kto zwyciężcą.

ANIÓŁ.

. Ten zwyciężcą, kto zwyciężył Tyś strącony na dno piekła, a zwyciężcą, – Chrystus w niebie. K Na te słowa szatan zgrzytnął zębami, oczy jak dwa rozżarzone węgle zabłyśły, włosy mu się najeżyły, wstrząsł się jakby piorunem rażony i w kłębach siarczystego dymu zniknął. W tejże chwili Anioł błogosławiąc znakiem krzyża uśpionego Stanisława, wznosił się otoczony światłością, i wśród woni i dalekiego śpiewu zanurzył się w obłokach.

3*

mM

&WT 1AEOK cz

MTSift

irgw&ia

Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu na chwilę zasłonę przyszłości ?-
Czy struny nateżone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzały przecięciem.
W ustach mieszka wesołość, w oczach myśl
zgadnienia.

W głębi to, w głębi serca robak przewinienia.

Mary a. MalczeskU

Martwe lice Stanisława ożywiać się zaczęło, posągowa jego postać owiana została snem naturalnym, cichym, fantastyczna wyobraźnia znać, że jeszcze przedła nic zjawisk cudownych po której zwolna spuszczał się ku ziemi. Stuknięcie drzwiami i stąpania wchodzącego rozbudziły go zupełnie. Zaledwo otworzył oczy, wyciągnął rękę ku przybyłemu baronowi.

Pan Johan Trazc od roku mieszkał u Stanisława, z radością widział, iż pieczołowitością swoją zdołał serce przyjaciela uleczyć z tylu bo- leśnych ciosów. Wspomnienie tylko przeszłości zasepiało pogodne czoło Stanisława, lecz duch jego, miotany nawałnościami i tylą przygodami życia, niczem nieprzywiązany do ziemi, jakby wybrzeżył z granic ciała i przez krainy marzenia leciał połączyć się z pozaświato- wemi duchami. Mistycyzm Stanisława wyro- dził się z sieroetwa jego życia. Próżnię serca nie mogąc zapełnić na ziemi, przeniósł się w świat czystej idei. Wyrozumował w sobie, iż pracą ducha wyrabia się postęp, przejście z przeszłości w przyszłość; iż przez pokonanie zmysłowości, przez umysł zagłębiający myśl badawczą w: siebie, budzi się natchnienie rozświecające prawdy, które w pozaświecie oko ducha dojrzeć tylko może. Rozum, czucie i wyobraźnia Stanowiły u niego pełnię żywota* a siłą twórczą, wyzwalał się z więzów materialności, dążąc ciągle do harmonii ducha z poza światem.

Takowe usposobienie Stanisława uśmiech litości wywoływało na usta barona, zwolennika If czystego rozumu i epikureizmu mimo to jednak tyle zawsze dowodził przyjaźni dla Stanisława, tyle się cieszył pokojem jego domowym, tyle' okazywał szacunku dla cnotliwej, pobożnej Julii, spółniczki życia Stanisława, iż różność zdań i sposobu myślenia bynajmniej nie wpływały na zachwianie trwałej przyjaźni. Baron z nikim się nie godząc w teorii, w praktycznym życiu każdemu umiał się podobać. Przytem żywy brał udział w dopomaganiu i realizowaniu każdego szlachetnego uczynku Stanisława, i właśnie z podobnej dwutygodniowej wyprawy w tej chwili powracał.

–Pocziwy Baronie, zawołał Stanisław, szczęśliwym, że cię oglądam. Twoja przytomność u- czyni mi znośniejszą samotność, której nic zapełnić nie może po stracie mego dziecięcia.

– Dwa tygodnie temu jak dowiedziałem się o tym bolesnym wypadku. Nieszczęścia zwykle są żywiołem najcnotliwszych ludzi. Któż zbada Opatrzność czuwającą niby nad nami, któż pojmie sprawiedliwość przedwieczną?

– Nie wyrzekaj na sądy Boże, kochany Johanie. Błogosławieni, którzy cierpią, a wiesz, że ja tu szczęścia dla siebie nie szukani.

Na te słowa baron się skrzywił, szydersko uśmiechnął, a Stanisław wpatrując się w jego rysy zadrżał jakby strwożony i usunął się w głąb* krzesła.

–Daruj, kochany Panie Stanisławie, rzekł baron, czarnym myśłem moim, które tak często cię rażą. Tyś mi dał poznać z bliska nędzę Judzką, będąc posłannikiem twoim dla niesienia ulgi bliźnim i do łez otarcia, napatrzyłem się na . wiele nieszczęść, jednak nie mogę znieść i przywyknąć do obrazów niedoli, i radbym, aby cały świat był szczęśliwym.

^ Baron widząc, iż lice Stanisława pobladło, wzięwszy go za rękę dodał łagodnym głosem, tj – Czyś chory, Stanisławie? Czy jakie wspomnienie ścisnęło twe serce, uspokój się. Wszak wiesz, że przykro patrzeć na twój smutek temu, który każdą chmurkę nad twym czołem radby rozpędzić choćby ostaniem tchnieniem życia, każdą troskę splókałby. chętnie krwią własną. ••. Stanisław się uśmiechnął,, i rzekł, ścisnąwszy Serdecznie rękę barona*

–Będziesz Się śmiać i pofejesz, f g@y ci 'powito przyczynę mego wzruszenia. Tu 'Stanisław opowiedział baronowi swoje całkowite widzenie, mówił długo, z zapalem, żywością, jakie tylko silne przekonanie wzbudzić -może, a które u wszystkich mistyków jest najwybitniejszą częścią. Gdy skończył, dodał zmuszając się do śmiechu:

– Daruj, co ci powiem, kochany Johanie, że przed chwilą gdyś się skrzywił na moją iftyś pietyczną, w twarzy twojej odmienionej, ujrzałem rysy oszpeconego ducha.

–Cha cha cha, różni się w głos p&n baron. Otoż to owoc przesądów, religijnego obłąkania, w mistyczny pomysł. Strzeż się, Pańce Stanisławie, tych jawo w, które cię ffrzetwżyć mogą na śmiesznego dziwaka. Podlegasz gfcze chorowitej umu, co nie jest harmonią ciała i duszy a tworzy rozdział chwilowy tych dwóch Wielkich działaczy w Człowieku, stanowi chorobę. Senne fantazyje nie można bez śmieszności brać za rzeczywistość, bo im brakuje realności, bez której wszystko jest złudzeniem. Jeśli człowiek z twoim usposobieniem, kochany Panie Stanisławie, odtrąci wpływ zewnętrznego świata, i zacznie tylko, żyć wewnątrz, rozdwojenie to musi wyrodzić stan. chorowity, magnetyczny, który wiedzie do szaleństwa, .

-r-Znam, te wszystkie mądre traktaty^ odrzekł Stanisław, nie mogę jednak, wygnać z siebie przeświadczenia o związku ducha mego z. pozaświatem; wasze drwinki z demonomanii są tylko dowodem, że nie chcecie uznać żadnej- cudowności niepojętych dla waszych głów fdozoficznych. Ilekroć to razy zjawiska i sny mi się sprawdziły –. Trafnie powiedział jeden z mych przyjaciół, ^zerwał baron, że każda choroba jest zwrot* tem do zwierzęcości. Człowiek w uspieniu:traci; swą boskość. Na miejsce- jej jako w stan jego zwierzęcy wstępuje instynkt, siła,, o tyłu w a- hłęd wprowadzają każde ją brać za siłę moralną ;u| zwierzęcia; instynkt więc wiedzie- do odkrycia, czasem przyszłości, lecz li tylko co do samej. istoty zwierzęcej człowieka. Beszta jes/. fanlar zya, wybrykiem ducha, gorączką lub szaleństwem, L -- Przecie^ kochany Baronie, nie odmawiasz; nam choć instynktu zwierzęcego, i z twej łaski Wywyższyłeś nas choć do czworonożnych- istot, O gdybyś, choć raz miał. widzenia ii sny moje, uczciłbyś je godniejszym nazwiskiem,! Żadna.poe-

zya nie wprowadza w tak cudowne krainy. Jest to więcej jak poezya wcielona w kształty.

–Dla mnie, Panie Stanisławie, zacna i piękna poezya jest tylko w czynach. Postępkami twemi dajesz dowody, że jednakowego jesteśmy zdania. Przejdę więc do niej, zdając ci sprawę z mojej podróży.

– Dobrze kochany Johanie. Ulga niesiona drugim w cierpieniu. Jest najskuteczniejszym lekarstwem mych boleści.

Baron zapaliwszy cygaro, usiadł wygodnie w głębokim fotelu i zaczął opowiadanie w te słowa:

– Później, kochany Panie Stanisławie, zdam ci sprawę o wdowie z Cieszowic, o uwolnieniu p. Józefa z więzienia, o czynnościach moich z polecanej mi opieki nad dwoma sierotami. A naprzód przystąpię do interesu p. hrabi ni Orskiśj. Wracam od niej. Przed rokiem pamiętasz ją w dostatku, świetności. Tłum życzliwych, którymi była otoczona, ubiegał się na wyścigi pozdrowić ją grzecznem słówkiem, czekając na jej uśmiech lub wejrzenie; wszyscy oddawali hołd piękności i dostatkom. Te potężne przymioty czyniły ją władczynią naszych towarzystw, i chociaż to niebyły cnoty teologiczne, jednak grono adeptów rosło z dniem każdym. Nieraz się dziwiłem jak kobieta urodzona w skromnym domku ubogiego szlachcica, nosząca nazwisko od jakiejś tam ogrodowiny^ co mnie cudzoziemcowi trudno nawet zapamiętać, jak raz wyszedłszy za hrabiego, poznała swe stanowisko, i z taką godnością potrafiła zawsze utrzymać ton wiel- Jtiej damy; która umiejętność, nie z nauki, lecz ze krwi pochodzi. Gdybyś ją dziś ujrzął, zapłakałbyś nad jej stanem. Straszny jest widok: nędzy wkradającej się do pałacowych podwoi, Wszystko pożóra, druzgoce, póki ogołocony szkielet pałacu nie runie na głowy dawnych swych panów. Hrabina przykre położenie znosi dość mężnie, i nie dziw, w dzieciństwie przyzwyczajona do skromnego życia, bez wielkiej boleści, z pałacu wróciłaby pod słomianą strzechę rodzinną. Wiesz że hrabia ścigany groźbami wierzycieli wymknął się za granicę, powierzył in- iteresa i hrabiną przyjaciołom, lecz, na nieszczęście każdy z nich prawie był mniejszym, lub ■ większym wierzycielem, zatem żyjącą negacją iprotekcyi hrabiny, naturalnym aktorem potępienia. Na jej listy błagalne o pomoc, o radę, od- E Intryga 4

bierała zimne, cierpkie odpowiedzi. Ci, po długich morałach, kończyli sensem jeszcze moral- niejszym: „że samiście temu winni, nikt w takim nieszczęściu poradzić nie może.” Ci znowu doradzali więcej energii, radość cierpienia i pracę , drudzy zamknięcie się w klasztorze jako u- wolnienie się od napaści wierzycieli; a byli i tacy, co życzyli najczulej, najpiękniej, poddać się surowości prawa, aby wysiedziawszy pięć lat w więzieniu raz na zawsze tym środkiem uwolnić się nadal od prześladowań kredytorów. Rzadko kto się użalił, a jeśli nie rzucono kamieniem, to przynajmniej żądłem języka potrafiono ukłóć w serce. .

– Biedna hrabina, przerwał Stanisław, z ja- kimiż to okropnymi ludźmi hrabia Adolf miał do czynienia.

– Mylisz się, kochany Stanisławie, rzekł baron, byli to przyjaciele życzliwi, jak ich w szczęściu ma każdy, słowni w przyrzeczeniu stawienia się na każde zaprosiny; pili duszkiem, do dna zdrowie hrabiego i hrabiny, wynurzali się z życzliwością , poświęceniem się; po prostu byli toser- deczni przyjaciele, ludzie honoru i stoickiej cnoty , gotowi na każdą przysługę jeśli w widoku mają nadzieję pozyskać w zamian większą dla siebie. Na tym biednym świecie nic darmo się nie czyni. Gdy z takich ludzi masz kredytora, w chwili sparaliżowania się twych interesów, ujrzysz dopiero nagi, rzeczywisty potwór, nerwy ich porusza obawa lub chciwość, łez nie widzą, próśb nie słyszą, są głusi, ślepi, oczy się iskrzą, brwi się strzępią, w głowie nic prócz interesu, w ustach żądło, a w piersiach kawał kamienia. V –Baronie, przerwał Stanisław, zawsze twój pogląd na ludzi jest szkaradny, przyzma twoje powiększa zło samo, a piękności nigdzie nie chcesz dojrzieć. Nawet urodzenie hrabiny, według ciebie, jest jakby plamą w jej nieszczęściu.

– Przepraszam, rzekł baron Trzc, żyłem z ludźmi i sam jestem człkiem, uczyłem się wielkiej anatomii charakterów i namiętności ludzkich, a com w niej odkrył, com wyczytał w tej księdze mądrości, niech to zostanie tajemnicą dla ciebie. Wróćmy lepiej do rzeczy. Gdym drzwi otworzył do pokoju hrabiny, ujrzałem ją siedzącą przy stole okrytym papierami, listami; tuliła do piersi swoją ukochaną wychowanicę. Macie- tzyńska miłość rozlewała się na jej twarzy. Nie rozumiem jak można oszukiwać nawet tak święte

uczucie, nie mając własnych dzieci –przybrana' jakaś istota, niewiadomego pochodzenia, zajmuje • miejsce w jej sercu rodzzonego dziecka. Kobić- ty zdolne nawet siebie oszukiwać. Słyszałem; że cały majątek, jakiby pozostał, państwo Orscy mają na tego bębna przelać. Obok siedział stary, łysy, chudy, w okularach mężczyzna, czytał i przekreślał ołówkiem niektóre miejsca ogromnego folijału. Zbliżywszy się, poznałem p. Mateckiego, jest to sławny adwokat przysięgły, ■ prawnik zawołany, postrach Sądów Głównych, Powiatowych i Ziemskich, nie jednego urzędnika wysadził z posady, nie jednego pod sąd oddał. Wszyscy go się bali, jeden drugiemu szeptał w ucho: „że pan Matecki wszystko może, „bo ma tęgie plecy." Była to oczywista sprzeczność z jego budową, bo pan Matecki podobniej- szy do kija bilardowego we fraku, niż do barczystego Herkulesa.

Po miłym przywitaniu hrabiny, po niemej rozmowie, w której lzy żywiej nad wszystkie wyrazy wypowiedziały jej boleść i nieszczęście, po kilku wzmiankach o tobie, Panie Stanisławie, zwróciłem jej mowę na interesa. Rzekła, iw –Próżno prosiłam dawnych przyjaciół naszych o pomoc i radę, wszystkim jakieś ważne przeszkody nie dozwoliły nawet mnie biedną na- wiedzieć, a rady jakimi cieszone przekonasz się Pan z listów. Powzięłam więc myśl prosić patia Mateckiego do uporządkowania papierów i ob dania ratunku, jeśli jaki godziwy znaleźć się może. Właśnie zastałeś nas, Baronie, nad projektem pana Mateckiego, który zabićrał się do odczytania. Bądź świadkiem jego sprawozdania, a jeśli ci .^ostało trochę przyjaźni dla naszego domu, "może i twoja światła rada będzie dla nas pomocą.. Wt Pan Matecki podniósł okulary na czoło i o- kbróciwszy się do mnie rzekł z powagą. i* – Znane jest wszystkim światło pana Barona, co wielkim promieniem zatacza koło rozlicznych wiadomości i nauk. r^ – My dzieci Solona i Likurga nie mamy tak fefrszechstronnych przymiotów; naszą całą podporą księga praw. Na jej podstawie budujemy •projekta. i jeśli są tylko zgodne z prawem, niesiemy naszą pomoc uciśnionym i cierpiącym, r Po długich ceremouiach, komplementach', p. matecki zaczął czytać poważnie swój memo- f ryał. Początek był kwiecisty, było coś i o Gre

kach i o Rzymianach; o jure Romanorum i o pan- dektach. Rzucił się jak Godfryd, jak Tankred na Jerozolimę, wycinał Żydów, bronił Tytusa, Ka- ligulę, Nerona uniewinniając prześladowanie Izraelitów. Zachęcał do krucjaty na zgładzenie Żydów , a wszystko się skonkludowało odepchnięciem długów żydowskich od fortuny hrabiego, jako oszustów i lichwiarzy. Odczytawszy Pierwszy ten punkt memoriału, rzekł p. Matecki:

■ – Zarzutem oszukaństwa i lichwy, dług stu- tysięcy rubli srebrem się umorzy, lub się da nabyć za dziesiątą część należnej im summy. De- portata hrabiny zasłonią dwie trzecie majątku, a pozostały dzierżyc hrabina będzie w posiadaniu przez Administracyą. Tym środkiem usuną się ataki kredytorów, z dochodów cokolwiek opłacać się im będzie, a w lat kilka majątek o- czyszczony, będzie w posiadaniu prawych właścicieli. Oto jest projekt zgodny z prawem i ręczę za przyrowadzenie go do skutku.

Hrabina zakryła oczy, a widok jej cierpienia rozlał nieme milczenie. Po chwili podniosła za* plakane oczy i rzekła.

- – A więc niema ratunku! hańba i nędza nie tak łatwa do odparcia, jeden tylko środek – cierpliwość i praca.

– Próżno hrabina poddaje się żalowi, odrzekł p. Matecki. Środki przedstawiłem, hrabina zawsze będzie panią.

– Nie chcę – nigdy! przerwała mu hrabina. ^{lr} – W interesach o czułościach trzeba zapo- -mnieć, rzekł poruszony Matecki, na odparcie pocisków trzeba tarczy Achillesa, Ajakowego miecza. Hrabina zginie, jeśli odrzuci mą radę, Jeden dług z którego uwolnić się będzie trudno, jest to zastawa na pięciuset duszach w należnój summie p. Płacydowi Słutyńskiemu. Pomyślimy jednak i nad tćm.

– Na wszystko środek mam lepszy, rzekłem. Matecki cofnął się o dwa kroki i uśmiechnąwszy się pogardliwie, zawołał.

– Masz Pan naukę, ale nie Prawa. Masz Pan rozsądek, ale to niedoświadczenie obroną naszą, albo silne odparcie kredytorów, albo pieniądze. Darujesz mi Pan, że obu środkom nie łatwo panu baronowi zaradzić. Lepiej spuścić się na doświad- czenie.

Poruszyły mnie wyrazy zaciętego prawnika; chwyciłem papier i pióro, a napisawszy krótki bilecik, oddałem go w ręce hrabiny.

– Masz Pani, rzekłem, godniejszy i pewniejszy środek. List ten proszę zaraz posłać do pana Słutyńskiego, zapewniający go, iż przed terminem pan Stanisław Ludomski spłaci zakładne. Poznałem interesy Pani; są sposoby godziwe ocalenia majątku i obronienia sławy jej męża. Przyjm Pani bez obawy usługę pana Stanisława do której od niego jestem umocowanym. Dasz Pani dowód, iż nie odrzucasz przyjacielskiej ręki i uczynisz go szczęśliwym w podaniu zręczności dźwignienia Was z niedoli.

Trudno ci wypowiedzieć, Panie Stanisławie, jak cały dramat uczuć odbił się na jej twarzy. Mówić nie mogła, bladła i drżała ze wzruszenia. Radość, zdziwienie i uśmiech przeleciały po licu, potem łzy trysnęły z oczów i rzekła.

– Baronie, tyś nie wierzył w łzy szczęścia, błogosławiony kto je wycisnąć potrafi.

– I prawda, kochany Panie Stanisławie, poznałem w com wierzyć nie chciałem, com niegdyś przeczył hrabinej, iż są na świecie, łzy szczęścia.

Stanisław rzucił się na szyję barona i także płakał ze wzruszenia, z radości, iż był sprawcą szczęścia całej rodziny. Chciał zaraz jechać do pana sędziego Słutyńskiego, aby mu złożyć pieniądze. Wstrzymał go baron mówiąc.

– Nie tak nam łatwo pójdzie z panem sędzią jak ci się zdaje. Będzie to cios okropny dla niego. Liczył sobie, iż za dwadzieścia tysięcy rubli srebrnych będzie w posiadaniu wioski najpiękniejszej. Jest to stary kutwa, prostak, a zdaje mu się, że wszystkich potrafi oszukać, że ma spryt za wszystkich. Poznasz go lepiej w interesie.

– Wstydz się, Baronie, uprzedzać nie pochlebnie o człeku, który, choć prostak, może mieć poczciwe serce. Żał mi tylko nieraz kochanego Bohdana. Ojciec chce go nakłonić do swych wyobrażeń, Musi znosić tyranią umysłową. O! Bohdan wiele cierpieć musi.

– I wiecznie cierpieć będzie, rzekł baron. Jeśli go nie zagryzie Pan Sędzia, to dojedzą ludzie, gdyż nigdy nie pozna ludzi.

– O! żał mi Bohdana, przerwał Stanisław. Czy wiesz co to za cierpienie nosić w swych piersiach płomień uczuć, których wylać nie mo-

zna, gorzeć wiecznie ogniem miłości wielkiej, o- gólnej, a nie móz jej w czyn zamienić. Czy wiesz co to zaból, gdy myśl w głowie pali. Zdaje się, że mózg pożera. A gdy się czasami wyleje, zamiast współczucia .znajdujesz uśmiech szyderstwa. Ty nie wiesz co to być niepojmowa- nym, gdy iskra natchnienia nieśmiertelnej prawdy tkwi w twojej duszy. O! ja pojmuje Bohdana. On wiś, że wszystkie teorye były przygrywką do wielkiego dzieła; czas przyszedł w cielenia ; społeczeństwo rozwinie myśl czynem.

–.....I uczyni niebo z ziemi, wyrzekł szydersko baron. Utopie–Panie Stanisławie. Zło i nieszczęście zawsze mieszkać będzie na ziemi. Celem naszym jedno pokonać, drugiego uniknąć. Pan Bohdan i wszyscy; co wierzą w teorye społeczne, w braterstwo ogólne, dla sprowadzenia szczęścia z Niebios na ziemię , będą zawsze męczennikami swych teorji; bo człek, ze zwierzęcego swego instynktu, powinien naprzód myślcć o sobie, a zresztą

– Nie kończ, Baronie, przerwał Stanisław. Znam Cię za najgodniejszego człeka, a słowa twe nieraz mnie do żywego przerażają. Twe zasady są negacją twoich czynności, po cóż chcesz

^
47

-koniecznle uchodzić,, za materyalistę, za samoluba. Za kilka dni będziemy u księżnej Berlińskiej, wezmę z sobą i Bohdana. Musim cię nagiąć do wyobrażeń dzisiejszych, chrześcijańskich; musisz pójść koniecznle z postępem całej Indzkości.

– Wszystkiego będę- słuchał cierpliwle, prócz pietycznych zasad, bo na to są formy gotowe, granice wytknięte. Dziś rozum powinien zdobyć Hiedziny ducha, powinien otrząść się z przesą- A dów ślepej wiary, powagi i uczucia, bo rozum jest wszystkim. Bóg sam jest najwyższym rozumem, rodzaj ludzki jest rozwijającym się ro- zumem, a natura jest uzmysłowionym rozumem. Wszystko co jest, o tyle tylko jest, o ile jest Irozumne. Co się z rozumem nie zgadza, to nie ma bytu.

p —Smucamnie twe słowa, Baronie, tchną filozofią czystego rozumu. Zużyte to są niemieckie formy, fajerwerki umysłowe, które nikną jako te czcze ognie, bo niezgodne, ani z naturą człowieka, ani z jego przeznaczeniem nieśmier- telnem, ani mogące wejść w życie praktyczne społeczeństwa. Pamiętaj, że u księżnej Berlińskiej plac do walki.

t

– Chętnie przyjmuję, uśmiechnąwszy się szersoko odpowiedział baron., a teraz pozwól abym się oddalił dla dokończenia twego pięknego czynu w interesie hrabini Orskiej.

@mw, is iyhik; KIE GŁUPI*

Pan Wojewoda z synem od dawna w rozprawie Długo teraz rozprawiał, i dosyć łaskawie.

Maryn. Mulczeski.

\ O trzy mile od Pana Stanisława Ludomskiego mieszkał Pan Sędzia Słutyński; dom jego mało się różnił od wiejskich chatek; dwa kominy murowane, okiennice zielone i długi szereg topoli przy dziedzińcu, odznaczały pomieszkane dziedzica. Z sieni obszernej bez podłogi wejźmy do pierwszej izby, kilka krzesel z rzeszotką, sofa drelichem wybita przed którą stoi stół dębowy czerwona serwetą zakryty, dalej szafka, na niej pliki regestrów, inwentarz, skazki, kilka processów i objawienia Sądu Ziemskiego. W kominku, na którym nigdy ogień nie gorzał, stał duży mosiężny samowar, na gzymsie papuga gipsowa i kotek z kiwającą się główką, która w chwilach Intrygi

dobrego humoru P. Sędziego często była poruszana, i zawsze uśmiech zadowolenia rozlćwał się na szerokich jego ustach, a razem i uwielbienia biegłego artysty Niemca. Na ścianach kilka kolorowanych sztychów. Śmierć Abla, Józef w Egipcie i cztery pory roku kończyły ubranie pierwszej izby służącej do przyjmowania gości. Po tym obrazku czytelnik odgadnie dalszy rysunek pokojów, a my wróćmy do sofy drelichem obitej, na której właśnie siedzi gospodarz domu. Jedną ręką gładzi wąsy, w drugiej trzyma krótki antypkowy cybuch i kłęby dymu co chwila wypuszcza. Stary ponsowy kapciuk, ze stalo- wemi narzędziami do czyszczenia fajki, wisi na guzie od czamary, często spoziera w okno, patrzy z niecierpliwością na długi gościniec, pokręca do góry siwe wąsy, co było barometrem złego humoru, i mrućy cós pod nosem. Turkot zajeżdżającej najtyczanki przerwał pomrukiwanie. Jednak Pan Sędzia nie ruszył się z sofy, znać że po tectnicniu koni i kół brzęku, poznał swoją najtyczankę i cztery ulubione szpaki.– Wszedł młodzieniec ujmującej postaci, wymownych oczu, pocałował z uszanowaniem rękę Sędziego, lecz ten brwi nastif ępił i pokręcił wąsa. ^mieszał się lękliwy Bohdan, bo umiał czytać we wzroku rodzica, odgadł przepowiednię burzy. .Stał w milczeniu gdy Pan Słutyński ozwał się silnym głosem. i – Waść usadziłeś się czynić na przekór Ojcu, pozwoliłem Waści na kilka godzin mój powóz i konie, a Waść u tej wielkiej Pani i zanocował, wysokie tam progi na Waści nogi, a pewnoś toopsuł najtyczankę, koniom nie musiano dawać ebroku, a możeś którego podpalił, lub ochwacił. L – Nie kochany Ojczy, wszystko jest w całości, przepraszam iż dłużej nad pozwolenie zaba- fwiłem.

– Jest to lekceważenie mych rozkazów, ciągle Waść drażnisz mnie swym uporem i złością! ^nieraz ci powtarzam, sedy łycho, bude tycho.– -Pamiętaj nie przyprowadzać mnie do ostateczności, porwać cudze konie i na naznaczoną godzinę nie wróćić? to zgroza! Myślałem żeś u- ciekł, przetachlował konie. Wszystko to dzi- siejsza młodzież gotowa uczynić, li –Ah Ojczy, czy mozesz mnie posadzać o jaki haniebny uczynek.

j — Milcz Waść i słuchaj. Wszystkiemu złemu laieboszczka Jejmość winna, pieściła Waści ipO-

psuła, kazała się uczyć i przewróciła głowę, że jesteś jak pół waryjata, myślisz, że jaja mędrze od kury. Czy nie dość ci było skończyć szkoły w Winnicy, nie! trzeba było później pieszczocha wysłać za morze do Akademii, jako dobry mąż dogadzałem kaprysom nieboszczki. Żinka każe hreczka, czołowik kaie mak, nechaj bude lak, nechaj bude hrecika, trzdziłem się, opłacałem, i doczekałem się drągala do niczego. Dałem był Waści pod dozór stajennych, zamiast użycia basów, prawileś im duby smalone o moralności, o obowiązkach. Zostawiłem był Waści zarząd całego gospodarstwa, gdy dla atentowania sprawy na parę miesięcy jeździłem do Kijowa. Cóż zastałem? nieład, pozaprowadzałeś łazarety, aby wszyscy powymierali, przyjąłeś bakałarza, aby dzieci uczył czytać. Cóż to chciałeś ich zbuntować? Chciałeś abym został bez koszuli? Powiedz Waśc dla czego na przekór Ojcu postępujesz?

–.....Myślałem łaskawy Ojczy

– Myślałem, myślałem, nie trzeba myśleć, tylko słuchać co Ojciec każe, młodzie nie powinni mieć swoich myśli, niech starzy za nich myślą.

; Obowiązkiem młodych wykonywać wolę starszych.

v –Od tej chwili Ojczy będę ślepym wykony- ' j. waczem rozk azów. £ – No, pamiętaj Waśc, przeproś, siadaj i bądź w-dobrym humorze. H, Sędzia wyciągnął szeroką rękę którą Bohdan ze drzeniem ucałował. Po chwili milczenia Pan ^Sędzia zmienił surowe wejrzenie na szyderski uśmiech i rzekł: .

m – No, cóżeście tam u tej Księżnej Berlińskiej uradzili.

& Najważniejszy przedmiot wczorajszych roz- fbmów była myśl wydawania pisma czasowego. % Kilku przytomnych literatów popierało ten chwalebny zamiar, i zdaje się iż przy ruchu umysł- swym, który począł się objawiać w naszym pi- gsfśmiennictwie, owe chęci pomyślny wezmą skutek. [– Czy to będzie jaka gazeta, jak Kuryer Litewski, którego za życia Jejmości musiałem prenu- ■ Bnerować ? ft. – Nie, będzie to skład dawnych ojczystych pamiątek, zbiór prac dzisiejszych pisarzy, ocenie- Jfirtie krytyczne dzieł pojawiających się. Słowem pędzie to odblask naszej krajowej umysłowości. ś – Na cóż to wszystko potrzebne? taka książka przydać się tylko może dla wielkich bogatych

Panów, lub dla próżniaków. A szlachcic, dobry obywatel, woli się zająć urzędem lub gospodarstwem. Gorzelnia, czumaczka, stado, o to rozrywki pocziwego, rozsądnego obywatela; z takich rozrywek pieniążki kupią się do worka. Powiedz Waść czy tym Panom co będą pisać te gazety, czyli jak Waść po modnemu nazywasz pismo ^czasowe, płacić będą, i wiele, i kto, bo to grunt.

– Tak jeszcze u nas mało czytających, iż niepodobna aby pisarz za poświęcenie swego czasu mógł się spodziewać korzyści materyalnych; lecz gdy się chęć do czytania upowszechni, niewątpliwie zawód pisarski, jak w innych krajach tak i u nas przynosić będzie prócz sławy, prócz wdzięczności rodaków i dochód pieniężny.

– Cha, cha, cha, koszałki, opałki, wolałbym już pisać w juryzdykcyjach sądowych, tam ale płacą. Któż do tej gazety należeć będzie ?

– O wielu, prawie wszyscy naszych prowincyjni pisarze.

– Cóż to za jedni, z jakiej profesji?

– Wszyscy prawie są obywatele, trudnią się ■ i gospodarstwem, a czas zbywający poświęcają naukom.

– To chyba świat się przewrócił do góry nogami. Za moich czasów pisał, albo ksiądz, albo professor, albo pieczeniarsz, jeśli czasem wyrwał się który z obywateli, to mu tak dogryźli, tak dopiekli, iż musiał się wyrzec, że czytać i pisać umie.

– Ilistorya literatury nas uczy, iż w każdym wieku magnaci i najświetniejsze historyczne imiona wspierali, zachęcali uczonych, a nawet sami własne wydawali dzieła.

– Milcz Waść ! tak jest tak było jak ja mówię, dawniej obywatel nie mieszał się do zatrudnień nieprzyzwoitych jego stanowi; lepiej to wszystko pamiętam, lepiej wiem od Waści.

ra młodym uczyć rozumu starszych, słyszysz, mores.

Bohdan ze spuszczonego oczyma siedział w milczeniu , czasem ciężko westchnął. P^n Sędzia mruczał coś pod nosem, gęste kłęby dymu z ust wypuszczał, a pokręciwszy węża ozwał się szydersko.

– Może Waść myślisz, iż ja będę prenumerował waszą gazetę , bardzo grubo się mylisz, i rozkazuję, aby i Waść nie ważył się mi ją kupować , gotówes buty sprzedać na kupno księ

żek; dość iż pozwalam książki u drugich pożyczać. W niedziele możesz sobie je czytać, tylko nie przy świecy, nic po nocach, bo i tak wielki expcns na świece, robią, a robią a nastar- czyć nie można. Ach! co te życie kosztuje, gdyby to wszystko człek chował co zje i wypije, co wyda na nakłady gospodarskie, piękny byłby grosik. Wydatkom wydołać nie można. Twój brat Maciuś drze mnie ze skóry, tak drzyj tylko* kiedy się daje, przeszłego roku wziął sto karbowanych, a do tego sprawiłem mu mundur, ale przynajmniej chłopiec pracuje w Rządzie Gubern- skim. Pan Sowiećnik bardzo z niego kontcnt i Pan Gubernator zna go osobiście. Suotl zakonów zna na palcach, może wyjść na człeka. A gdy czasem przyjedzie do mnie, to aż miło, bo i o gospodarstwie można z niin pomówić; choć siedzi w Kijowie, jednak zaraz pozna, które ł- szę od której kłaczy. Każdego wołu zna na ornacki, a jak zacznie do chłopów krzycheć i łajać to drzą więcej jak przed prystawem lub sprawni- kiem. Wyjdzie on na człeka, na obywatela, a „Waść do niczego. Jednak jako dobry i sprawiedliwy ojciec nie robię różnicy między dziećmi. Od dzisiejszego dnia będziesz w rok także po

bierał sto karbowanych, to piękny grosz! Oba- czemy co z niemi zrobisz? A gdy się umieścisz w jakiej dykasteryi, tojeszcze dam Waści cztery konie, tylko nie szpaków, tych nikomu nie odstąpię, dam Waści dwie kłacze myszate stro- katego, to tęgi koń, będzie chodzić w dyszlu, i bułanego cti kupiłem od Moszka, z tym trzeba ostrożnie bo to gorąca bestyja.

– Dziękuję ojciec za twoją łaskę. Sam czuję, iż każdy powinien pracować na siebie. Osobliwie ljiając zdrowie. Odebrawszy z łaski rodziców wychowanie będę mógł przy obiecaney mi pomocy i sam się utrzymać i drugim być użytecznym.

Czoło Pana Sędziego zaczęło się wyjaśniać, rzadki uśmiech zadowolenia przebiegł po ustach, lecz na nieszczęście chwile pokoju nigdy długo nie trwały w domu P. Słutyńskiego, były to błyskawice niknące za lada powiewem. Pan Sędzia przechadzając się wzdłuż pokoju ujrzał przez okno, ulubionego stępaka chromającego na nogę. Zgrzytnął zębami i wrzasnął przeraźliwie.

– A hultaje! łotry! coście zrobili memu wierzchowcowi– pewno umyślnie go skaleczyli, abym w każdy kąt nie jeździł, poczekajcie łajdaki!

Groźby, łajania, przekleństwa, wyleciały z panem sędzią na dziedziniec i wpadły do stajni. Bohdan udał się do swego pokoju, zamyślił się smutnie, a dumanie przerywane było jękiem ćwiczonych furmanów i kozaków. Chciałby uciec od krzyku bóleści, lecz jęki wydobyte sromotną karą coraz były silniejsze i Bohdan ze wzruszonym sercem, prędkim, niespokojnym krokiem przebiegał ciasną swą izdebkę.

Po przykrej rozmowie, po cierpieniach doznanych ze srogości ojca, smutek wniknął do duszy Bohdana. Przyzwyczajony do cierpień, nie użalał się przed nikim, że sprzeczne wyobrażenia trzymały go w oddaleniu od rodzicielskiego serca. On który całą siłą młodego, wyższego uczucia, ukochał świat cały, cóż dopiero ojca? Który wśród niedawnych pieszczot matki poznał wielkość i świętość rodzicielskiego przywiązania, dziś z rozwiniętym umysłem i czuciem straciwszy ukochaną matkę, potrzebujący współczucia, podziału, dziś przy boku ojca był w sieroctwie. Winne synowskie posłuszeństwo i u szanowanie, były węzłem łączącym go z ojcem. Bał się, nie chciał roztrząsać postępowania rodzica względem sąsiadów, domowników i poddanych, oddalał myśl nawet rozbierania jego czynów, które jednak zostawiały krwawe ślady na synowskim sercu. Bohdan cierpiał za błędzących, cierpiał za uciśnionych. Młodzieniec był w dobie najpiękniejszej życia, umysłem ogarnął nauki, czuciem wzbił się w świat natchnienia nieskonczonej pieśni, w kraj piękności, poezji. Wrzał chęcią coraz wznioślejszego ukształcenia się, pałał żądzą chwały i czynów, a ten piękny zapał był ciągle ostudzany surowym wejrzeniem ojca, naganą każdej szlachetnej dążności. Gdyby nie moc ducha, nie siła woli, gdyby nie wiara, nie nadzieja postępu w szczęśliwość całej ludzkości, zwichnęłyby się młode skrzydła, źródło łez lodemby się ścięło i upadłby w kał tej brudnej ziemi nowy samolub, to ziarno nieczystego ducha z którego każdy grzech się wylęga.

Bohdan po chwili dumania, co jak niebieska rosa ożywiła rojone nadzieje, z żywością pochwycił pióro, usiadł i znowu się zadumał, lecz znać że już myśli smutkiem brzemienne niebyły;

iskrzące oczy" podniósł do góry jakby wzrok na gwiazd promienie zawiesił-, jakby chciał przebić obłoki i patrzył w cudowne oblicze Anioła. Zlekka radość jakby cień uśmiechu błędząca po ustach rozpędzała ostatnie ślady tęsknoty zarysowane na pięknym jego czole. Była to chwila natchnienia! Młodzieniec pisał, rumieniec, to Okraślił ■ lice, to blednął, a serce wciąż biło gwałtownie, zdało się że siłą ducha przelewał własne życie w utwór swej myśli. O! nie żałowałby Bohdan wysnuć z siebie i cały wątek ożycia, aby dziecku jego wyobraźni dać go tyle, by mu sił nie brakło na wieczność całą. Po długiej pracy młodzieniec rzucił pióro, prędkim krokiem przebiegł wzdłuż ciasną izdebkę, potem chwycił za papier i owoc pracy czytał z uwagą. Przeczytał, choć rodzicielska radość błysła mu w oku, jednak dostrzegł kalectwo dziecięcia. Czyż serce matki w takiej chwili nie zaboli? i on się zasmucił. Westchnął, jak gdyby z prośbą ku Niebu, o wytrwanie, o siły, o cud, bo cudem jest natchnienie.

Żądza Bohdana podniesienia wrodzonego talentu nie pochodziła z chęci chwały, odznaczenia się przejścia do potomności, jedyną jego myślą była użyteczność, poświęcenie się według sił swoich dla ludzkości. Każdą ideę nie tyle chciałby ukształcić w formy, ile ją przenieść do czynu. Chciał być^o poetą w żywym tonie J^półeczności, bo społeczność była dla niego jedyną kartą, na której czynem chciałby odbić swoją myśl i natchnienie. Skrępowaną mając ""Wolę, wpływem tysiącznych okoliczności, jęczał jako lew w- więzieniu, bo czuł własną potęgę i. siłę działania.

r^Ledwo wstąpił Bohdan w lata młodzieńcze, f Serce jego zawrzało miłością silną, niepokalaną. Poranek jego życia upromieniony uczuciem, tchnął całym urokiem swych czarów i ponęt. Serce pięknej Julii biło zgodnie z sercem Bohdana, w dzieciństwie jeszcze główka jej zaczęła marzyć, poetyzować każdy kwiatek, wrywała się latać z jaskółkami po nad niebo, goniła o- kiem migające po nad jej czołem gwiazdy, w zachwyceniu nieraz łzy się jej stoczyły po Jlicach, nieraz dumanie kończyła modlitwą. Śmiano się z dziecka, zabawką dla starszych były jlf marzenia, tymczasem dziecię urosło z usposobioną duszą do marzeń, do kontemplacji. Nigdy im przez myśl nie przebiegła trwoga mlIntrygi 6

utrąty szczęścia. Jedno bez drugiego nie rozumieli życia, złane ich dusze tworzyły jedną istotę. Rozdzielenia pojąć nie mogli. Tak ich dzieciństwo, tak pierwsze lata młodości płynęły pół, w niebie, pół na ziemi. Dziękując Bogu za szczęście, wyższego marzyć nie mogli na świecie. Odgłos wojny obił się o serce Bohdana, zawrzała krew w jego żyłach. Myśl obowiązku, poświęcenia się, uzbroiła jego dłonie. Pożegnał Julię i leciał nabój krwawy. Trzy lata upłynęło, żadna wieść nie przyleciała pocieszyć strapioną dziewczinę. W końcu głucha wiadomość krążyła w sąsiedztwie o zgonie Bohdana. Cichy smutek, bez skargi, bez wyrażań, jak żałobna zasłona pokryła różaną przeszłość, lube wspomnienia błyszcząły, lecz jak złocone krzyże na grobach, nic już jej przywiązać nie mogło do ziemi, umarła dla świata, nęciło ją niebo, bo w niebie był Bóg, bo w niebie był Bohdan. Lice jej bledło, siły opuszczały. W takim stanie była Julia gdy w dom jej rodziców zjechał pan Stanisław Ludomski, postać dziewczicy do białej lilii podobna, jej smutek, zgadzał się z u- sposobieniami Stanisława, którego przeszłość, jak wiemy, bolasnemi łzami skropioną była, przy

wiązanie jego rosło z dniem każdym. Nie dręczył ją swą miłością, poznał, iż raz umarłe uczucie w jej sercu, wskrzeszonym być nie może. Chciał pozyskać jej zaufanie, przyjaźń, chciał być na zawsze jej opiekuńczym aniołem. Majątek, światło, urodzenie, znana wszystkim jego dobroć, były dla rodziców Julii ponętami niezwykłymi, i gdy tylko Stanisław oznajmił im chęć poślubienia Julii, prośby, nalegania, 'zniewoliły biedną dziewczinę do spełnienia ich ""woli. Czyż z tak skołatanem sercem, bezsilna, bez nadziei, mogła się oprzeć rozkazom rodzicielskim? We dwa miesiące została żoną Stanisława. Wtok pojej ślubie, wrócił Bohdan do kraju. Pierwsze widzenie się o mało co nie zabiło młodzieńca. Julia choć jej serce jakby żelazną ręką było ściśnione, przeniosła mężnie ten ns boleści i mogła nawet znaleźć kilka słów pociechy. Myśl obowiązku, nadzieja w szczęśliwość wieczną, jaśniała zboląsłj duszy. Życie -stało się dla niej chwilą próby i męki, rozradowała się w swej boleści, w nadziei wipcznej na- jgrody, w połączeniu się w nieśmiertelności. Samo nieszczęście stało się dla niej błogostawieństwem. Bohdan choć równie życie brał

za przepaść rozdzielającą ich na ziemi, choć zlanie się ich duchów widział po za grobem, jednak nie umiał się poddać z ufnością wyrokom Boga. Nie pojmował szczęścia w męczeństwie. W jego religijnym rozumieniu, miłość była najwyższą cnotą, żywiołem niebios, miłosierdzie godłem Boga. Nauka jego środkiem do szczęścia ludzkości, dźwignią podnoszącą ułomną istotę do wiecznej szczęśliwości. Śmierć była boleścią oczyszczającą winy. Walka złego i dobrego jedynym cierpieniem danym dla wyzwolenia ducha z więzów ciała. Boleść i męczeństwo uważał za karę a nie za posag dany ludzkości. Uważał, że Bóg stworzył człowieka na szczęście doczesne i wieczne.

Właśnie gdy tak marzył Bohdan, rozwarły się drzwi z łoskotem i okazał się zaprzony od gniewu pan sędzia Słutyński. Szarpnąwszy silnie za ramię Bohdana wrzasnął.

– Zarzynają! zarzynają! a Waś tu myślisz o niebieskich migdałach.

Bohdan przerażony chwycił za szablę stojącą koło łóżka, chciał wybiedz na ratunek, gdy sędzia, ująwszy go za rękę, zawołał:

– Tak, tak, zarzynają, kradną, rabują a Waś z próżniactwa drzćmiesz jak sojka na krzeselku.

– Cóż to, ojciec? jaki napad, kto, gdzie?

– Czyś Waś już zupełnie zwaryował. Porywasz się z szablą na jakieś widma. Czyż ta głupia wojaczka nie nauczyła Waś jeszcze rozumu. I podając list pomięty dodał:

i – Na Waści, przeczytaj, a dowiesz się wszystkiego. Było to pismo od plenipotenty, zawierające, iż Pan Stanisław Ludomski, zastępnie za hrabiną Orską, należną mu sumę reponuje w sądzie.

Twarz Bohdana zajaśniała szczęściem, rzewnością. Zwykle każdy szlachetny uczynek wywołuje uczucia szlachetne. W pierwszym popędzie chciał z radości rzucić się na szyję ojca, chciał się podzielić zachwycającym wrażeniem obudzonej szlachetnością Stanisława, lecz spostrzegłszy groźną twarz ojca, ochłonął z zapału i; rzekł tylko z radością: – Ach! ojciec, ojciec co za czyn piękny, jak oni zniewala mnie do szacunku dla Stanisława. Bogu niech będą dzięki, że zsyła takich ludzi. O jeszcze nie rozpaczam, szczęśliwość ogólna toożę osiąść ziemię, gdy mamy już tak zacnych

posłanników. Czyż przez takie czyny miłość ogólna prędko nie ogarnie społeczności, niż przez wpływ tysiąca ksiąg najmędrszych?

Bohdan mówił z zapalem, głośno, jakby.-sam do siebie, ale rzuciwszy wzrok na ojca zamilkł, a po chwili dodał:

– Ojczy! i ty musisz się radować z postępu pana Stanisława. Twoja należność całkowicie zwróconą zostanie.

– Czyś Waśc oszalał, krzyknął pan sędzia. Pan Ludomski mnie rabuje, okrada, a Waśc się cieszysz. Gdyby nie jego szalona dobroć dla tej kukułki, ja mając zakładne na dwóch wioskach, wziąłbym pięćset dusz za moich dwadzieścia: tysięcy karbowanych.. .

Bohdan dopiero pojął z kąd pochodził gniew ojca, ścisnęło mu* się. serce i milczał. Pan sę-, dzia szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a ochłonawszy trochę z gniewu, rzekł:

– Ja mu tego nie daruję. Zkąd ma prawo mieszać się w cudze sprawy. Niech no pan Dziawkiewicz przyjedzie, manifest zaniesie, u-, tworzę proces, ja go nauczę 1 Lecz przedtem list napisać należy, może waryat się opamięta, i rzekł do Bohdana:

– Siadaj Waśc i pisz do pana Ludomskiego, ja Waści dyktować będę.

"_x Bohdan wziął papier, usiadł przy stoliku a pan sędzia przechadzając się po pokoju dyktował w następujących słowach:

– „Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju! Żę pan starosta ś. p. ojciec JW Pana Dobrodzieja iOstawił mu dwa miliony kapitału, to wiem dokładnie, że po jego śmierci odziedzyczyłeś cztery jtysiące dusz, jako sąsiad wiem i o tem. Wolno więc JW Panu Dobrodziejowi cudze grzechy brać na siebie. Dobrze dartyły koty przystupaje. Ale niewolno dla tego krzywdzić sąsiadów, czynić wiolencye w ich interesach. Miałem pod za- kładną dwie wsi pani hrabinej Orskiej, graniczące z moim majątkiem, a J W Pan Dobrodziej. nie proszony, nie dziękowany, zastępnie za nią składasz mi pieniądze. Czyż to się godzi ? Czyż to po sąsiedzku? Po co między drzwi wścibiać palce. Narażasz się JW Pan Dobrodziej na proces, bo mej własności darować nie mogę. Nie hipotek o wałem mej summy na majątku JW Pana Dobrodzieja, tylko na wioskach pani Hra- Wnej. Grosz mój jest mi drogi i nie chcę mieniae sa siekierkę kijek. Poznaję w tem wszystkim

niemiecką sztuczkę barona. Cofnij więc JW. Pan Dobrodziej pieniądze z sądu i daj mi pokój. To moja rada, a koty moje bude ne w ład, to ja to swoim nazad. Ale wówczas jaką miarką JW. Pan Dobrodziej mierzyłeś i ja mu odmierzę i wielkiego niepokoju naniosę, bo tonący brzytwy się chwytą. O czym go zawiadomiwszy, czekając jak najprędzej odpowiedzi, łączę wyznanie mojej attencyi i uszanowania z jakim zostaję JWM. Pana Dobrodzieja najniższy sługa."

Bohdan blady wstał od stolika, a pan sędzia dużymi jak wielkogroch literami podpisał.

„Placyd Junosza Słutyński."

Pan Sędzia odczytał pismo i z widocznym zadowoleniem rzekł do syna:

– Waśbyś tak nie napisał, zwięźle, krótko i jasno, a wy teraz tak piszecie, że was zrozumieć nie można, szumno, górno a sensu za trzy grosze. Dzisiejsza młodzież nic nie ma zdrowego rozsądku. Ale czego Waś taki blady, to pewno z sedenteryi.

– Ojczy! odrzekł Bohdan, mam cię o jedną łaskę prosić! Nie posyłaj tego listu do pana

Stanisława Ludomskiego, ja sam mu cały interes osobiście przedstawię. Pan Sędzia z razu rzucił się z gniewu, potem się zamyślił, i ozwał się po krótkim milczeniu.

– Dobrze, poruczę Waści tentowanie ważonego dla mnie interesu. Możesz zaraz wyjechać, działaj śpiesznie a nadewszystko korzystnie dla mnie. W tym czasie przyjedzie i Maciuś z Kijowa i pan Dziawkiewicz. W razie potrzeby na upór znajdziemy lekarstwo. Co do listu, pomyślę, może wyszlę, a może nie wyszlę, trzeba będzie poradzić się Moszka, to sprytny żydek. ,Waś gotuj się do drogi, tylko szanuj konie, ^pilnuj aby miały wygodę, bo to u tych modnych panów, biedne koniska zaraz do karczmy odsysają, jedziesz w interesie więc o owies śmiało ifnożesz się przymówić. Pamiętaj Waś wszystko pomyślnie ukończyć.

Dał do ucałowania rękę i wyszedł trochę u- .dobruchany. Bohdan pozostał sam, przywalony Klarem smutnych myśli i wrażeń.

JEST fcOTB U® 11§31 IS#

StA» B&tHSSIISM.

A jednak głos straszliwy, choc spojrzenie dumne, Brzmi w całym jego ciele.

Zdobędziesz ty trumnę.

Mury a. MalczeskU

0 pół mili od Ludomla, majątności zamieszkaanej przez Stanisława Ludomskiego leżała wieś należąca do dóbr jego. Rozrzucone po wzgórzu chaty wyglądały z po za starych jabłoni. Pasma nietkniętego lasu jak murem opasało jedną stronę wioski; z drugiej, cicho drżące zwierciadło wody leżało u stóp wieśniaczych ogrodów. Przy końcu wioski z pomiędzy ciemnych szpalerów lipowych i smutnych jodeł, wyglądał pałac o dwóch piętrach, gdzie niegdzie nadwerężone sztukaterye i tynki dowodziły, iż ten pałac, który niewątpliwie przeszłość miał huczną, wesołą, skończył swe życie, a powiew zniszczenia zrywał pomału ozdoby, wierzchnią białą sukienkę rozdzierał, aby wkraść się wszczęliby \ z czasem zmienić w mogiłę gruzu. Z życiem pana starosty Ludomskiego, skończyło się i życie pałacu. Syn jego, pan Stanisław, nie chcąc zapewne obudzać smutnych wspomnień po stracie rodziców, przy dawniejszej swej rezyden- cyi pozostał. Jednak ów pałac choć niemający żadnego ruchu był w jednej części zamieszkaany. Wejdzmy do dzisiejszego lokatora i poznamy lobownika tego pustego, wielkiego grobu. pW stronie dziś zamieszkaanej drzwi żelazne, dobrze okute, wiodły do obszernej sieni; dwa olbrzymy z drzewa, przerażające swoją niezgra- fenością odziane w lwie skóry, jedną ręką wsparci na ogromnych maczugach, drugą podpierały wiszące nad ich głowami sklepienia. Po obu stronach schody wiodły do górnego piętra, lecz to ibyło zupełnie puste, drzwi otwarte wprost sieni oznaczały pokoje zamieszkaane. Pićrwszy salon był obszerny, jaskrawo ponsowy.z wyobrażeniami bożków leśnych czarną jedną farbą pomalowanych, co czyniło ich podobniejszćmi do czartów niżli do bóstw mitologicznych. Świeższe gdzie niegdzie po ścianach wielkie kwadraty, świadczyły o miejscach wiszących tam nie-

72

gdyś obrazów. Posadzka choć piękna, lecz zaprószona, w środku pokapana woskiem, pewno ślady świec gorejących przy katafalku pani sta- rościnej. Pod ścianami kilka prostych krzeseł stanowiły całe ubranie pokoju. Na lewo drzwi wiodły do wązkiego salonu umalowanego w staroświecki treliaż, kilka lusterek wmurowanych w ścia- fcy wyglądały z pod gęstych gałęzi. Następny pokój był zamieszka- ny. Adamaszek błękitny o- krywał ściany i sofy, sznury jedwabne, kutasy , podtrzymywały suto spływające falbany, firanki tegoż koloru zacięniały światło wchodzące przez ciasne okna. Po różnobarwnej posadzce przechadzał się mężczyzna przeszło czterdzieści lat mający, czoło miał wyniosłe, szerokie brwi nieco podniesione w górę, spływały nad oczyma , które błyszcząły jak dwa rozżarzone wę- gle , usta wydęte, szkarłatne, pięknie się odbijały od śniadej jego twarzy, nos orli- ostro zakończony tworzył powierzchowność męzką pełną siły i życia. Nie brakłoby w całej postawie pewnej oryginalnej piękności, gdyby wyraz szyderstwa i pychy nie odstręczał z razu od tej dziwacznej powierzchowności. W ciągłym z nim obcowaniu zniknęła odraza, bo rozum jego sil-

73

niejszy nad przecucie, które zwiemy fałszy- wem uprzedzeniem, tyle miał blasku, iż cmił wszelkie zarysy złego, odbite na jego twarzy. Owym mężczyzną, mieszkańcem pustego pałacu'był Pan baron Trazc. Zwiedzając majątności Stanisława, tak mu się podobała dzika fi- siognomia wioski, posępność starego ogrodu, oryginalność pałacu, iż prosił, aby mu pozwolił go zamieszkać. Stanisław pojmował gust do Łwych Hofmanowskich pałaców, do życia z przeszłością, do samotności zaludnionej tylko duchami dawniejszych mieszkańców, chętnie upo- podobaniu barona dogodził. Lecz Pan baron dalekim był od Hofmanowskich powieści, nie myślał wcale żyć z duchami, celem samotności był odpoczynek po roli, którą odegrywał na teatrze świata, czuł czasami potrzebę uniknięcia oczów ludzkich, wówczas zrzucił maskę, był sobą "Zdziałał według usnutych zamiarów. ^Słońce zaszło, czarne chmury kupiły się na horyzoncie, huczały z dala zwiastując uzbliżającą się nawałnicę. Pan baron często spojierał \vd- kno, zwracał oczy na wiszący zegar, i w głę- bokiemy zamyśleniu wzdłuż komnaty się przechadzał. Poruszył z żywością sznurek od dzwpanka , Intrygi

1

U

m

i wszedł służący w wytartej liberyi z herbami Ś. p. Pana Starosty. Choć nie stary, jednak zgarbiony, z włosami prawie na nos spadające- mi, z wypukłemi oczyma, gębą rozwartą, i z przykrem kalectwem głuchoty. Spotknawszy się na progu i wyróciwszy krzesło, które go od upadku uratowało, rzekł:

– Niech będzie pochwalony!.... pfu! zapomniałem że JW. baron tego nie lubi. Słucham Pana.

Baron się zbliżył i krzyknął mu nad uchem.

– Benedykcie! światła.

Służący rozśmiał się serdecznie i rzekł skrobiąc. się w głowę.

– To już jakaś sztuczka. Jak to światła?

Świecy," gamoni, krzyknął baron.

–■ - A to co innego. Pan baron choć już dobrze mówi po polsku, jednak tak czasami się spotyka jak ja na progu. Kto te progi wymyślił.

– Bodajbyś kark skręcił, przerwał baron, dość tej gawędy, przynoś świecę.

Benedykt się wysunął, Baron znowu zamy[^] ślony przechadzał się wzdłuż pokoju, czasami zaglądał w okno, lecz chmury zupełnie już zaćmiły widnokrąg i tylko przelotna błyskawica jakby bengalskim ogniem oświecała w około szumiące jodły. Znów się drzwi rozwarły i Benedykt niosąc zapaloną świecę, podnosząc o łokieć nogi nad progiem, rzekł:

•– Niech będzie... pfu! za Pana Starosty przywykłem. ..

– Nikt tu nie był? zapytał baron.

– Albo któż tu bywa, chyba Pan Starosta co o pół nocy przechadza się po balkonie, chyba puszczyk przeleci i zaryhocze na kominie. Dziś tu żywy duch nie zawita, nie tak jak dawniej... chyba ten wysoki kościotrup, co go Pan nazywasz Eneaszem.

– Nie był on tu w czasie mojej nieobecności? przerwał baron.

– A juźć nie był, śmiejąc się odpowiedział Benedykt, kiedy, nikt nie był, to ma się rozumieć że nikogo nie było.

– Drzwi od ogrodu nie zamykaj, bo on dziś jeszcze przyjść musi, rzekł baron.

– Chyba, Boże odpuść, djabeł przyjdzie, bo ulewa że psa wypędzić nie można, a Pan Eneasz to nie djabeł, ani pies, człowiek sobie chudy

jak kościotrup, to prawda, ale zdaje mi się że człowiek.

W tem drzwi się rozwarły i wszedł Eneasza do koszuli przemokły.

– Wszelki duch chwali Pana Boga! krzyknął Benedykt i zniknął zostawiwszy sam na sam Eneasza z baronem.

Eneasza rzucił płaszcz, strzepnął nim silnie aż krople deszczowe obryzgały całego barona, który niezadowolony z takiego powitania, usiadł milczący w głębi salonu.

– Do stu diabłów z ulewą, rzekł Eneasza, szeroką dłonią skręcając chustkę zrzuconą z szyi. Jak ruda mysz przemokłem. Dobrze Panu siedzieć w fotelu a ja zwijam się jak pies za truflami.

– Które razem zjemy, przerwał baron. Jaki cię kaduk opętał żeś w tak szatańskim humorze?

Eneasza nic nie odpowiedział, wyjrzał przez drzwi, potem je ze środka na klucz zamknąwszy, usiadł na wygodnej st>fe i rzekł:

– Twój Benedykt ma dobry zwyczaj kłaść się z kurami, słyszałem że się już mości na sienniku, urodził się do posług Pana barona, głuchy i ślepy, nie ma dwóch zmysłów, których służącym niepotrzebnie natura udzieliła, a głupi jak stołowe nogi. Traf szczęśliwy obdarzył nas tym sługą, lecz i z tym gamoniem ostrożność nie zawadzi, ostrożność przedewszystkiem.

– Z tej strony jestem zupełnie spokojnym, przerwał baron, mów teraz jak zlecone ci ro- skazy spełniłeś, poszukiwania twoje czy odkryły com żądał?

Eneasza powstał, i usiadłszy tuż przy baronie, rzekł:

– Żaden pies tak się nie męczy, goniąc za zwierzyną, jak ja tropiąc ślad w ślad twego Pana Edwarda Gozdawę. Poszukiwania moje odkryły iż po prostu jest to jakiś włóczęga, żyjący przemysłem, zręcznością, spryt jego kapitałem, od którego głupia publiczność sowy procent opłaca. Może chcesz go przyjąć do naszych działań, pamiętaj na przysięgę naszą i na karę za przypuszczenie kogo do naszych tajemnic.

– Wcale nie myślę o tem, tę samą przestrożę mogę i tobie przypomnieć, mów dalej.

– Dziesięć lat temu ów Edward Gozdawa znaleziony był w lesie między Ostrogiem a Zaslawiem, wpół umarły, majacy wówczas lat

7*

ośmnaście. Nie umiał czy nie chciał opowiedzieć dokładnie swego pochodzenia, znać jednak iż dość starannie odebrał wychowanie. Pewny obywatel Rzepkowski mieszkający w bliskości Ostroga, znalazłszy go w lesie, przyjął z miłosierdzia do siebie, swem staraniem powrócił mu zdrowie i użył do posług ekonomicznych. Młodzieniec bawił u niego rok jeden, wpadł w de-ccs i za pozór oczywistej kradzieży wypędzonym został. Długo o Gozdawie nic więcej dowiedzieć się nie mogłem, aż przypadkiem poznawszy się w Ostrogu z bogatym kupcem naciągnąłem rozmowę o Panu Rzepckowskim i Gozdawie. Żyd się uśmiechnął i powiedział że znał ich obu, że Gozdawę widział później w Moskwie, że go tam posądzano o związki z podejrzanymi ludźmi, jakaś awantura zagnęła go do wyjechania po kryjomu, i udał się zamtąd do Warszawy. Więcej nic nie mogłem wyciągnąć od żyda, poznałem że musiał znać dokładnie biografię Pana E-dwarda, lecz odkryć mimo mych różnych fortelów nie chciał, to tylko pewna, że od dwóch lat mieszka w Warszawie. Gzem się trudni nie- wiadomo.

—Więc Gozdawa jest włóczęgą, w niedo- statku może, wyśmienicie, wybornie, zawołał z radością Pan baron, a więc wszystko składa się pomyślnie. Dokładniejsze szczegóły musim mieć koniecznie.

— Nie rozumiem Pana barona. Pocóż nam się ubiegać za włóczęgami i oszustami, jaka z nich korzyść. Trudno od naszego brata co zyskać.

— O głupi kościotrupie! przerwał baron: będzie to najrozumniejsze i najkorzystniejsze polowanie. Cha, cha, cha, rozśmiał się Pan Trazc i wyraz dziki, szatański rozlał się mu na ustach. Po chwili dodał.

— Tu rozum i spryt wszystkiego dokona.

■ — Pan się chwytasz gorliwie takich interesów, odpowiedział Eneasza, a gdzie potrzeba pigułki lub kawałka żelaza to bezemnie się nie obejdzie.

— Ciszej, ciszej, zawołał baron, i ściany mają uszy.

Wytrzeszczył oczy przeraźliwie i ścisnął kon- wulsyjnie ramię Eneasza, ten się uśmiechnął, a baron przechadzał się wzdłuż pokoju; u obu- dwóch jakieś straszne myśli musiały się przesuwac po głowie, gdyż twarze ich były zmienione, szatański tylko uśmiech spędzał czasami

posępność z ich oblicza. Pan Baron wypogodziwszy nieco czoło przerwał milczenie.

– Najdalej za dni dwa wyjedziesz Eneasz do Warszawy. Wszystkich starań dołożysz, aby tam nie tylko wyszukać Edwarda Gozdawę, ale zawrzeć z nim jak najściślejszą znajomość. Jeśli jest w ubóstwie, dasz mu pieniędzy, jeśli za swe postęпки prześladowany od policyi, co z opowiadania twego należy się spodziewać, wyjednasz mu zupełne oswobodzenie. Gdyby wypadkiem Gozdawa zajmował teraz miejsce w wyż- szem towarzystwie, wówczas.... tak wówczas będziesz znany w Warszawie jako doktor medycyny, dla ostrożności więc masz wziąć dwa pasporta i patent uniwersytecki na doktora. Jako świeżo przybyły medyk z zagranicy, znajdziesz wstęp łatwy choćby do najwyższego towarzystwa. Spodziewam się że ta rola nie jest ci obcą, trzeba tylko od razu trafić w duch czasu, aby osiągnąć sympatię publiczności. Magnetyzm, homeopatja, hydropatja, kamfora, lub jakie sekretne pigułki, wziętość zapewnić ci mogą. Zresztą spuszczam się zupełnie na twój rozum, wytrwałość i ostrożność. Co do samej - intrygi dramatu, nic dzisiaj powiedzieć nie mogę, wiesz tylko że nigdy nie chybiłem celu, zapewniam że korzyść będziemy mieli sowitą. Gdy wejdiesz w ścisłą przyjaźń z panem Gozdawą, otrzymasz wykład całego interesu i dalszą in- strukcję.

– To coś zakrawa na dobrą awanturkę, odrzekł Eneasz, nie lubię prostych interesów, nie czynią mnie już żadnej emocji. Ale ta zaczyna się dobrze, coś w rodzaju Hrabiego Weneckiego.

Kończąc te słowa Eneasz uśmiechnął się. Baron pobladł, chciał coś wymówić; lecz usta zdrętwiały grymasem konwulsyjnym się wykrzywiły.

– Dziwny jesteś człowiek Panie baronie, rozum masz męzki, a serce babie. Nie zjadłbyś kurę gdyby ją samemu zarznąć potrzeba było. Chcesz mnie zawsze mieć za strzelca abym nosił zwierzynę. Prawda że lepiej odemnie wytropisz i upatrzysz, lecz pod koniec drammatu najważniejszego, w piątym akcie zawsze mnie samego puszczasz na scenę. Mniejsza o to, porzucmy te czcze gawędy. Ponieważ podróż moja kilka miesięcy się przedłuży, trzeba nam obliczyć kasę, i wziąć. cokolwiek na drogę.

Pan Trazc pogrążony w głębokim zadumaniu, ledwo ostatnie słowa dosłyszał.

– Dobrze, odrzekł, ściste rachunki ściślejszą przyjaźń czynią.

Wyjął gruby pugilares i obaj rozkładając zagraniczne bih-ty bankowe na osobnych arkuszach czynili w milczeniu rachunki. Twarze obu zupełnie się wypogodziły, pamięć żadnej zbrodni nie ciążyła na czołach, serca Ich biły zgodnie, jakby dwóch braci jednem upojonych szczęściem, znać że obaj zadowoleni byli z obrachunków.

– I teraz wielkiego uszczerbku nie zrobię naszej kassie, rzekł Eneasze. wezmę z tysiąc dukatów , gdyż drugi tysiąc mam przy sobie, wciągnij je do przychodów wziąłem je u tego pocziwego kupca, który nam dokładniejszą dał wiadomość o Panu Gozdawie. Sprytnie się znalazł, nie prędko żydowina się opatrzy.

Baron po przyjacielsku ścisnąwszy dłoń Eneasza rzekł:

– Jak pies jesteś wierny pocziwy Eneaszu, źle na tem nie wyjdiesz, połączenie się nasze koniecznie potrzebnem było; co jednemu z nas brakuje drugi to posiada; zamiar mój z Gozda

wą dopełnić ma sumnę o której marzyliśmy tyle, a wówczas

– Wówczas, przerwał Eneasze, wówczas drugie tyle łatwiej dopełnimy.

– Nienasyconym jesteś, rzekł baron, wówczas zobaczymy, jesteśmy związani przysięgą na krew nie rozłączać się póki nie dopniemy ostatecznego kresu. Deszcz już ustał, niebo się wyjaśnia, pośpieszaj i weź się szczerze do dzieła. Jak najprędzej daj mi wiedzieć o sobie, możesz pisywać przez żydowskich bankierów, to bezpieczniej , dopiski zawsze aby były pisane niewidzialnym atramentem, i naszym alfabetem, ostrożność ta koniecznie potrzebna. Jedź, pisuj często, źle mi będzie bez ciebie, lecz tu i sam dam radę. Jedź, zawsze krew moja i pieniądze- będą na twe usługi.

– Nawzajem, odrzekł Eneasze, i p(f serdecznem ściśnieniu ręki, opuścił pomieszkanie barona.

Gdy przechodził przez sień, trącił leżącego Benedykta, który zerwawszy się śpiesznie, rzekł:

–Nie bój się Pan, nie zaśpię nigdy widzenia się z Panem? dawno po północy ajeszczem oka nie zmrużył.

24

– Dobrze Benedyckcie, wyćwiczony z ciebie dworak. Ja wyjeżdżam na kilka miesięcy, aby ci nie zaległa pensja masz ten czas.

– Benedykt ujrzawszy w swojej dłoni dziesięć półimperjalów, skłonił się nisko i zawołał:

– Warteś Pan być senatorem, dobremu Panu nieżał dobrze służyć.

– Ciszej, ciszej Benedyckcie, w ogrodzie bezpieczniej się rozmówimy.

Szli w milczeniu, a gdy weszli w cieniste szpalery rzekł Eneasz.

– Powiedz mi teraz o baronie, jakie były jego czynności, co robi? czy nie bywa kto u- niego? czy nie dostrzegłeś jakiej zmiany w jego humorze, słowem co czyni? co mówi? co myśli? Widzisz Benedyckcie, ja mam z tym Panem różne interesa, to wszystko mnie djable obchodzi.

– Wszystko dotąd dobrze idzie, odrzekł Benedykt. Pan baron już nie bardzo mnie się wystrzega, nazywa mnie zawsze gamoniem, znać że dobrze rolę odegrywam. Od dwóch tygodni . Pan baron, jak Marek po piekle, tłucze się po pustym pierwszym piętrze i tam przesiaduje po kilka godzin.

85

– Może jaka schadzka? przerwał Eneasz. Kobieta czy mężczyzna?

– Ani żywego ducha z nim niema. Na górze jest archiwum familijne ś. p. Pana Starosty. Pan baron ze świecą w ręku, z okularami na nosie, przesiaduje tam większą część nocy i zawsze powraca z kilką szpargałami w kieszeni. Gust to Pański, dłużyć w starych zbutwiałych papierach. Z wieczora często woła mnie i wy- pytuje się o Panu Staroście, o jego rodzinie, o jego dawnych stosunkach, zawsze jest prawie zamyślony, czasami zmienia twarz, że odpuść Boże, do czarta robi się podobniuteńki. Od niejakiego czasu jest niespokojny, czasami ciężko wzdycha. Drzemiąc zrywam się, myśląc że duch jaki mnie woła. Nie wiem czy te moje spostrzeżenia na co panu się przydadzą, lecz ręczę za ich wierność: domyślam się że Pan musisz mieć z baronem^ interesa picu'ężne, a pożyczający jak doktor zawsze swego pacyenta za pulsa lubi macać.

Eneasz szedł długo zamyślony, szeptał coś sam do siebie, potem zwróciwszy się do Benedykta rzekł:

– Rozumiem, tak, wyśmienicie pocziwy Be-
Intrygi

"nedykcie, twe postrzeżenia wielkie] są dla mnie wagi , nadal nie zaniedbuj każdy krok barona mieć na oku. Masz mój adres. Co drugą pocztę będziesz do mnie pisywał. Na wydatki pocztowe masz pięć półimperjałów.

Doszli w tej chwili do furty ogrodowej wiodącej na wielki gościniec. Benedykt się skłonił i rzekł prawie z czułością:

– O mój dobry Panie, nie będziesz miał nigdy wierniejszego sługi. Niech Panu się zdaje żeś tu twe oczy zostawił, listy moje będą wiernym obrazem każdej najmniejszej czynności Pana barona.

– Dobrze mój Benedyckie, później sowitszą będziesz miał nagrodę, będziesz miał fundusz na twe stare- lata.

Kilka razy trzepnął go po ramieniu. Eneas zniknął a Benedykt zamknął na klucz furte o- gędową.

K8H&BJS Z SMMMAfi BA tPWE-

Do późnej nocy zgiełk i lentent trwały, Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały.

Marya Małczeski.

Rzęsisto oświecony dom księżnej Berlińskiej co chwila nowemi napełniał się gośćmi. Już kilkadziesiąt osób przechadzało się po smakownie lubranych pokojach, tysiące światełek rzucało 'promienie, to na wiszące przy świeczniku kryształ, to dwoiły się w lustrach, to tęczowemi farby w brylantach kobiśt się łamały. Pełno kwiatów, drzew pomarańczowych, napełniały przyjemną wonią i przeistaczały salony w jeden wielki ,ogród, w Eden napełniony huryskami. Smak artystyczny Księżnej odbił się nawet w ubraniu salonów. Nie było tam tych nudnych miejsc ceremonialnych , które, są zwykle świątynią mil-

—

czenia; rozpierszczone towarzystwo dzieliło się na gronka, a zasiadłszy w głębokich wygodnych krzesłach, ożywiało się zajmującymi rozmowy. Go- spodyni domu przy grzeczności pospolitej dobremu wychowaniu, nie wiele się zajmowała swó- mi gośćmi, i nikt ceremonijałów dla niej nie czynił, przyzwoita swoboda natchniona przy- kładem gospodyni, była rozlaną w całym towarzystwie.

Gdy wszyscy goście wśród balowego gwaru sobą byli zajęci, dwóch młodzików, jakby od- klejeni od białej ćwiartki Paryskiego żurnalu, lekkim krokiem przesuwali się po wygładzonej posadzce, jeden z nich zcichasie odezwał.

– Trzeba nam kochany Auguście, wmieszać się do którego gronka, przebieżmy wprzód wszystkie. Będziesz się śmiał ze mnie bo ułoży; tem sobie plan wszystkiemu dziś negować.

– Ty wiesz Janie, odrzekł drugi, że nikogo tu prawie nie znam, . przejdźmy powoli po salonach , i odszkicujesz mi wprzód wszystkich. .

–Wyśmienicie Auguście, będę twoim cicerone, nim tańce się zaczną będę ci dagerotypował różne postacie, sami się sobie doskonale zabawim. Uciekajmy tylko z tego' kątku bo tu sama numi

zmatyka, nie mam talentu, aby o tej cześnie nauce coś ci powiedzieć. Widzisz tych sześć Pań i czterech Panów co zasiadło przy tej astralnej lampie, to coraz rzadsze exemplarze zbutwiałej arystokracji, dumnej z kilku krwi kropelek co po babce, lub prababce przelewa się jeszcze w ich pyłach. Rozmowa się toczy o wojażach, mydlisz zapewne, że o Rzymie, Jerozolimie, Paryżu lub Wschodzie, o nie, podróż tych Panów ogranicza się na Karlsbadzie, Toeplitz i Baden. Mówią zapewne o jakimś Hercogenie Niemieckim u wód poznanym, lub o reunionach prze- szlorocznych. Dalej ten bukiet z panien, kilka fiołków, kilka pączków róży i konwalie i ka- melija i stokroć i bławatek; lecz pewno zapytasz dla czego na ten słonecznik, jak pszczołki, słówka miodowe kawalerów lecą, bo trzeba żebyś ^wiedział, że ile ziarenek w słoneczniku tyle tysięcy dukatów w szkatule tej Panny.

– Chodźmy dalej mój Janie, przerwał August, bo widzę, że masz chęć zatrzymania się długo jarzy tym bukicie, a ja nie mam już tak świeżego serca, abym ukochał kwiaty. Zbliźmy się do sofy gdzie zasiadła Księżna i posłuchajmy Ich rozmowy.

- – Dobrze Auguście, w istocie jest to najciekawsza ćwiartka z historii dzisiejszego balu, posłuchamy co się dzieje w tym Areopagu, możemy usiąść niewidzialni na kozetce, wazony z kwiatami zasłonią nas od rac rozumowych, od fajerwerków umysłowych, co się tam pewno w tej chwili odbywają. Muszę cię wprzód zapoznać ~2 osobami, jak przed zaczęciem sztuki, a mniej więcej będziesz wiedział o roli jaką każda z nich odegrywa na teatrze świata.

– Poznałeś już gospodynię domu, jest to kobić- ' ta emancypowana, Jcobieta- męczyzna, mająca przywary obu płciom właściwe: duma, próżność, chciwość zbioru, chciwość nauki, chciwość sławy, żądza wielbicieli. Gniazdo jej życia w głowie, do serca trudno zajrzeć, osłonięte tarczą rozumu, płaszczykiem pobożności. Znacznymi sztuk pięknych, nieżałująca nawet wydatków dla wsparcia Artystów, uczonych; lecz zamiast wspomaganie ubogich i domowników, trzepie głośno z nimi codzien pacierze, zamiast jałmużny dałaby z chęcią bilet na rumfordzką zupełę, a dla braku onej ciesz słowami mniej jeszcze mającemi żywiącej substancji, jak ówfi- lantropiczny pokarm. Koło niej ten pan z łusą głową, z nosem orlim z wejrzeniem przenikliwym jest to baron Johan Trazc, encyklopedysta, spi- nozista, sceptyk, słowem cała farmaceutyka filozoficzna, jednak mieni się wyższym nad wszystkie systemata filozofii. Po francuzku zowią takich esprit fort, a po polsku niedowiarek Boży. Nie trzeba być Lawaterem, aby poznać, że mu ile z oczu patrzy.

I Za nim siedzi Pan Stanisław Ludomski , marzyciel, mistyk, niedbający o sprawy ziemskie, "poświęcający się dla wszystkich, pełen dobrych uczynków, żyjący w przyjaźni z ludźmi lecz jeszcze więcej z duchami. Marzy o stosunku ludzi z duchami. V Koło niego ten młody, z rysami cierpienia, z oczami pełnymi życia, to Pan Bohdan Słutyń- ski. Poeta, marzyciel reformy socjalnej, cieszy się ciągłym wiekowym postępem i czeka królestwa Bożego na ziemi. 1' Między nim, a Księżną, ta dama w białej lekkiej szacie jakby w obłoku, bez żadnych świecących ozdób, prócz jasnego czoła i błyszczących oczu, to Julija żona P. Stanisława Ludomskiego. Żądło ludzkie nie skalało jej dotąd żadną potwarzą. Pełna nauki, talentów, czucia,

całkiem oddana Bogu, całą jej nadzieją Niebo. Przeszłość jej jest smutnym drammatem , zaraz, ci opowiem.

– Przestań mój Janie, przerwał August, na później ta epizoda. Powiedz mi lepiej co to za dwóch ichmościów stoi koło krzesel tego uczonego grona.

–Ten w okularach, mój Augustcie, z naje- żonemi czarnemi włosami, to P. Żowecki, lingwista , tradycya została na świecie , że umić po sanskrytsku, lecz na jego szczęście żaden Bramin nie pojawił się dotąd w naszych salonach; nie można więc dojść prawdy. Jeździ ciągle z chał- dejskimi i hebrajskimi książkami, po cichu je czyta, zawsze prawie w towarzystwie milczy; mówią jednak wszyscy, że arcy-uczony. Drugi jest to P. Kęcki. Pisał ćwiartkowe artykuły do bałamuta i tygodnika Petersburskiego, dziś żadne pismo czasowe nie przyjmuje jego płodów. Miota się ze złości na całą literaturę i podobno zamyśla odtąd pisać dzieła po francuzku. Pozna-łeś więc wszystkie osoby mój Augustcie, teraz cicho, słuchajmy ich rozmowy.

I dwaj przyjaciele wsunąwszy się w głąb wygodnej kozetki przysłuchiwali się dawno już toczącej się rozmowie.

–Słuszna uwaga księżnej, mówił baron Trazc, iż nićma nowych myśli, przeczytawszy pół wiekową literaturę wszystkich krajów, nie uderzy nas myśl nowa,, wszystko już przewidziane, napisane, wytłoczone. Niema siły twórczej. Napotykamy przetworzenia myśli w różnych kształtach , w różnych kierunkach, ale nie masz rozwoju postępowego darzącego nas coraz nowe- mi pomysły. W świecie materjalnym jak w świecie ludzkości wszystko skończone. Ruch, życie obu światów, rządzone są tylko prawem Po- Mngenezy.

– Daruj Panie Baronie, rzekł Bohdan, lecz muszę stanąć w obronie pojęć dzisiejszych. System Polingenezy może mieć zastosowanie słuszne do świata materjalnego, którego genesis skoń- ćzona. Summa materyi jest zawsze taż sama, summa zaś ludzkości idzie w stosunku rosnącym. Cud stworzenia skończony co do materyi, zawsze się odbywa w świecie duchowym. Ruch świata materjalnego jako mechanizm skończo? ny odbywa bieg jednostajny; w świecie ducha

■
94

ma się inaczej. Postęp ludzkości nie jest ściśle złączony z postępowaniem czasu, nie bieży z latami, ale w stosunku twórczości ludzkiego ducha. Idea (myśl) jest jądrem twórczości, która się uzupełnia w czynie. On dopiero wywiera wpływ na ludzkość, nadaje rach i kierunek. Duch ludzki dążąc ciągle do postępu, wyściga teraźniejszość, •dojrzana prawda wśród przyszłości, sprowadza* na myśl, widnokraj teraźniejszości rozświeca - tła i czynem nadaje ruch postępowy. Postęp jest 'życiem ludzkości, inaczej nastąpiłoby panować nie śmierci. Coraz postępnym ruchem, siłą złączenia, jedności, dobijamy się szczęścia całej ludzkości, przyszłość rozświetlona już jest w naszych umysłach, czyn ją urzeczywistni, przyjdzie chwila ogólnej jedni, czyli miłości, obiecane królestwo Boże na ziemi i wówczas może być dokończenie genesis ducha, lub nowy postęp w reformie ogólnej, natury świata, materialnego i duchowego.

— Prawda, iż ludzkość jest na drodze postępu, przerwała Julija. Ale opatrność, która nią kieruje ma swoje cele rozumem ludzkim niezbadane. Systematycznie układać przyszłość ludów

—"■ 'W

95

Bóg tylko jest mocen. Cóż nam zostało z Rzeczypospolitej Platona, z Utopii Morusa, z Citilas so- lis Campanellego, t Nora Jthlantis Bakona, i Oceanii Harringtona, z Socjalnych reform Saint-Si- jnona, Fouriera i Owena ? Foliały marzeń i nic więcej; są to rysy obrazu, które nigdy nie miały życia. Wszyscy reformatorowie socjalni byli pełni dobrych chęci, gorzała w nich najżywiej miłość bliźniego. Czuli na niesprawiedliwość, na nędzę ludzką, szukali środków do podźwignie- nia z niedoli. Lecz dla czego nie ziściły się ich idobre chęci? Czemuz cele tak szlachetne, zostały marzeniem ? bo niedość miłować bliźnich; nie dość ich nakarmić chlebem i zaradzić nędzy. Miłość bliźnich ta wielka i najpierwsza cnota Chrześcijańska, powinna wypływać z miłości Boga od wąłka i ogniska wszelkiej miłoścr., Nasi reformatorowie Socjalni nie wzniesli się dó jej Szczytu, szukali lekarstwa w mądrości ludzkiej; "obejrzel dokładnie stronę materialną, a zapomnieli o duchowej, zaradzili ciału nie duszy, zapomnieli że zawiązek każdej społeczności usnu- ty został z potrzeby ducha, że on kojarzy ludzkość całą. Zaniedbując moralną stronę człowieka, zamiast dobra i postępu, o mało całą spo-

łecyiość nie cofnęli do stano dzikości, w mądrości tylko Bożej spoczywają losy ludzkości.

– Jednak jest jakiś promień łaski, odrzekł Pan Stanisław Ludomski, który mimowolnie u- nosi nas w przyszłość i odkrywa przewidzenia szczęśliwszego bytu. Według mnie są to szczątki darów w nas pozostałych. Pierwsi ludzie odebrali władzę ducha od Boga, stosunkowo do wielkiego przeznaczenia jakie mieli w kreacyi. Oni wśród rajskiej krainy, w ciągłym byli zadowoleniu ducha, w zachwyceniu i jasnowidzeniu. Grzech zaćmił w nas te dary i ograniczył wiedzę. Mimo to jednak dusza będąc zawsze tąż samą co w chwili stworzenia wyrzywa się z więzów ciemności i jeśli panuje nad grzesznem ciałem, "zdziaławszy potężną reakcyę, wznosi się do swej pierwiastkowej potęgi i odzyskuje dar przeczucia przeszłości i jasnowidzenia. Wszystkie fakta duchowego świata co dziwią tylu niedowiarków, niczem innem nie są, tylko odstonięciem zasłony, która za grzechy rzuconą została na naszą duszę. Trzeba mieć wolę i umieć pojmosferać, a z pochodnią wiedzy i wiary wstąpimy w świat przyszłości.

– Nie te są drogi, kochany Stanisławie, przerwała Pani Ludomska, do wyższego uducho- wnienia się. Odrodzenie zawisło na udoskonaleniu się, na naśladowaniu doskonałości objawionej. Nie możebnością własną podnieść naszą istotę możemy, lecz tylko łaską i naśladowaniem prawdy, w niej leży nadzieja odrodzenia, cel zbawienia i szczęścia.

– Więc siłą własną nic człek zdziałać nie może, rzekł baron, upokarza bardzo Pani nasz rodzaj ludzki. Ja przynajmniej co wiem ie jesieni czuję w sobie wolę działania, i polegam na darze natury, na rozumie. We wszystkim tak, jak i w dziedzinie ducha, rozum powinien być przewodnikiem, co on ogarnąć swą siłą nie może wszystko jest marzenie. Do takowych marzeń należy świat ducha Pana Ludomskiego, i uto- pje o szczęściu i postępu pana Słutyńskiego. Poetyzowanie, szukanie piękności na świecie, wiedzie często do najbłędniejszego spoglądu na ludzkość całą, trzeba wszędzie widzieć prawdę nagą rozumem tylko objętą, a wówczas jasno każdy przejrzeć zdoła. Egzaltowani marzyciele chcą z człeka zrobić anioła, raj z ziemi, chcą aby cnotami człek się rządził, ' gdy cnoty""nie

Intrygi

&

mogą się godzić z instynktem wrodzonym każdego człowieka, błędami nazywają popędy naj- naturalniejsze, bo cóż jest egoizm, jeśli nie zdrowym rozsądkiem, cóż jest pogarda drugich, jeśli nie uczucie własnej godności, czem są nieszczęścia bliźnich, jeśli nie środkiem do pomyślności własnej. Dobrze tę prawdę zbadali najstawniejsi ekonomiści. Malthus powiada: „Jeśli którego człowieka rodzina wyżywić nie może, albo ludzkość nie potrzebuje jego pracy, takowy człowiek nie ma prawa żądać żywienia siebie; będąc niepotrzebnym, miejsca mieć nie może u wielkiej ucztę natury,” i dalej mówi „Iż każdy na świecie odpowiada za siebie i pracuje na siebie.” Czyż bogaci mogą nawet wystarczyć dla zaspokojenia ubogich. Malthus ów logik systematyczny, przekonany iż massy na zawsze muszą pozostać w nędzy, w nieocenionej swej księdze wzbrania ubogim rozradzania się. Markus i Adam Smith myśl jego logicznie rozwijają. Jan Chrzyciel Say mówi, iż mnogość potrzebujących pracy, czyni zapłatę niewystarczającą potrzebom życia, rodziny ubogie obciążone potomstwem ginąć muszą, ztąd wypłyne zbawienna równowaga pracy i nagrody. Ricardo, też samą myśl podziela.

– Baronie! przerwała księżna. Toż samo jest dowodem iż rozum nie może zaradzić całej massie ludzkości, twoi Ekonomiści zapominają o klassie najuboższej, z zimną krwią wskazują ją na nędzę, tem samem wyznają iż rozum bez serca w granicach egoizmu zamknąć się musi. r –Rozum jest prawdą i przeświadczeniem, Odrzekł baron.

–Rozum jest przeświadczeniem nicości mędrca, przebąknął Pan Żowecki, i nie słuchając odpowiedzi odszedł do drugiego salonu.

– Dla mnie, rzekł Pan Kęcki, wszystkie kwestye najżywotniejsze rozwiązał w dziełach swoich Pan Eugeniusz Sue.

t Całe towarzystwo uśmiechnęło się zlekka, a kierunek wsteczny nadany przez Pana Kęckiego sparaliżował dyskusję. Pan Kęcki szczęśliwy że wszystkim zamknął usta, spoglądał na całe grono z tryumfem jako zwycięzca. Odgłos muzyki w pobocznej sali przerwał milczenie. Gwar był ogólny, zamieszanie, i wszyscy długim rzędem nikteli w rzesisto oświeconej sali.

Jan trzymał jeszcze pod rękę swego towarzysza, czynił uwagi nad dopiero słyszaną rozmową, lecz August wyrwał się jakby z więzów i w kilka minut stał ze słonecznikiem w kon- tradansie, naprzeciw Bohdana i Pani Ludomskiej.

Krótko trwają lata szału, wesołości szczerzej, prawdziwej, gdy dźwięk muzyki pochwyca nas w wir tańca, kiedy się leci, płąsa, dla tego tylko, że nogi drgają, że serce skacze. Minęły te chwile dla Bohdana i Julii, tańczyli aby w tym chaosie przeżyć choć moment dla siebie. Posłuchajmy ich rozmowy.

–Smucisz mnie Bohdanie, rzekła Julja, zawsze marzysz o szczęściu, zapominasz iż to życie jest chwilką próby i ciągłej walki.

–Julijo, przerwał Bohdan, czyż dla tego iż podobało się Bogu złać na mnie tyle nieszczęść, o szczęściu nawet marzyć mi nie wolno? Jeśli ono już dla mnie stracone, czyż nie mam prawa żądać go dla drugich ? O! nie Julijo, nieszczęście jest to płód ziemi wylęgły z zepsucia, z zobojętnienia na dobro i piękność. Nietylko błędem własnym ale winą drugich, często popychani bywamy na ścieżkę łez i cierpień. Koztrząsnij Julijo życie nasze a uznasz tę prawdę.

– Bohdanie! nie wspominaj z goryczą o tych co może mimowolnie zadali nam tyle cierpień.

– Wiesz Julijo, że zawiści do nikogo nie mani w sercu, a zwłaszcza w tej chwili, gdy mi się zdaje że żadne cierpienie nigdy nie prześliznęło się po sercu, przy tobie zapominam o wszy- stkiem, nawet najgłębsza rana nie boli.

–Bohdanie, co za szczęście być z tobą, gdyby nie obawa co mnie dręczy, i ja bym zapomniała że cierpię.

– Czegóż się możesz lękać Juljo, wszyscy zajęci tańcem, rozmową.

– Nie boję się ludzi Bohdanie, lecz ciebie. Lękam się czy ty mnie nie nadto kochasz.

– Znasz czystość mych uczuć Juljo, lecz granic nie dostrzeże nawet twe oko, myśl nie do- sięże ani przestrzeni bez końca, ani wieczności. Są uczucia które ani słowami ujęte, ani myślą ogañioue być mogą. Nie trwóż się Juljo, uczucie moje nie splami twą duszę.

. – Ty mnie kochasz jak siostrę Bohdanie, nieprawdaż.

– Tak Juljo, jak siostrę spokrewnioną nie krwią, lecz duchem.

– O dobry Bohdanie. Więć mogę się nie lękać tej ziemskiej miłości, która jak rdza nieraz duszę plami, bo wiesz że mojem szczęściem i chlubą widzieć cię czystym i świętym.

– Przy tobie Juljo łatwo świętym być można. Kochać ciebie jestto ukochać wszystko co piękne, zacne i święte. Juljo bądź moja na zawsze, bez ciebie nie rozumiałbym życia, a nawet w wieczności nie byłbym sobą bez ciebie.

Bohdan zamilkł, bał się może wyrzec słowo, któreby pewno przeraziło Julję, bo on jeszcze ją kochał całym zapalem młodzieńczego wieku. Gdy tak się toczyła rozmowa w drugim końcu sali, baron zajmującym opowiadaniem bawił Księżną Berlińską, lecz oczy jego często strzelały zazdrośnym pociskiem na Julję i Bohdana. Czasami się mienił, zagryzał wargi, wewnętrzna jednak niespokojność nie przeszkadzała prowadzić żywą rozmowę tak, iż Księżna mimo swej wielkiej przebiegłości, mogła częste zmiany jego twarzy brać za odbicie uczucia rodzącego się dla niej w sercu barona. Myśl ta zadowoleniem upoiła Księżną; nie dla tego aby żądała dzielić jego uczucie, lecz pochlebiało jej zwycięztwo rozumu, tąż samą bronią zwalczonego. Kobięć

żyjącą, czującą tylko mózgiem, tryumf podobny upaja i uszczęśliwia.

Gdy baron spostrzegł że Bohdan powstał z swego miejsca, wnet pozwolił skończyć rozmowę i opuściwszy Księżną usiadł przy Julii.

– Pani nie tańczysz, rzekł baron, dajesz więc prawo nudzić siebie rozmową.

– Owszem baronie, dziękuję za twą grzeczność ; wolę mieć przyjemność w rozmowie z tobą, niżeli tańczyć z nieznajomymi, znużona jestem, więcej tańcować nie myślę.

– Tak to Pani, jeden taniec z Panem Bohdanem już cię nasycił.

– Nie mogłam się oprzeć jego prośbie, zwykle już nie tańczę.

Julja zarumieniła się i spuściła smutnie głowę, lekkie westchnienie uleciało z jej piersi. Baron pobladł i rzekł:

– Daleko od nas Pani byłaś w tej chwili.

– Daleko, rzekła Julja. Zapytanie Pana przeniosło mnie w daleką przeszłość, kiedym bardzo lubiła taniec.

– O Pani! za jednym tylko tańcem tak się nie wzdycha; nie wywołuje on takiej rzewności, jaka dopiero co w oczach Pani jaśniała.

– Któż baronie nie miał swojej przeszłości, kilka chwilek szczęścia!
– Czyżby szczęście Pani w poranku prawie życia miało już zagasnąć? Pani ze wszystkim darami do uszczęśliwienia i siebie i drugich, miałabyś cierpieć?
– O! nie baronie, nie wyrzekam na nieszczęście, są jednak bole w naszych sercach z którymi żałoby się nawet rozstać. Cierpi się z ochotą, raduję się dusza iż nieraz łzę gorzką, ból krwawy, może poświęcić Bogu.
– O! jakże są szczęśliwi kochani, przerwał prawie z zapalem baron.
– O! prawda baronie, że nie tyle boleści samo cierpienie przynosi, gdy ktoś z ochotą je podziela. Nie masz większego nieszczęścia jak sieroctwo serca.
– Wielką prawdę wyrzekłaś Pani. Lecz ten stan okropny może się zapełnić, jakąś żądzą, chęcią sławy, znaczenia, namiętnością, choćby w oczach świata nieszlachetną, jednak człek z nią żyje, dąży, ma cel przed sobą. Ale Pani, jest jeszcze inna boleść stokroć dotkliwsza, kochać bez wzajemności, cierpieć bez podziału, żyć bez nadziei. O wtenczas niedziw, że piekło nosząc w sercu, chciałby człek wszystkie zniszczyć szczęścia, chciałby cały świat wtrącić w piekło.

Te kilka słów wyrzeczonych z żywym uczuciem były wielkim fenomenem u barona. Najprzód zdziwienie ogarnęło Julję, potem myśl się nasunęła iż i baron mógł być nieszczęśliwym, iż w duszy jego głęboko ukryte może tkwi cierpienie, iż może w sieroctwie serca, nigdy jeszcze nie znalazł współczucia. Patrząc na twarz jego zmienioną, wzięwszy jego bladość za wyraz smutku, z tkliwością podała mu swą rękę i rzekła:

– Baronie! któż z nas nie cierpi?

Trzymał on w swym ręku dłoń Julii, oczy mu się iskrzyły, i Julja uczuła drżenie jego ręki. Pomyślała w duszy, on musi być bardzo nieszczęśliwy, nikt pewno słówka pociechy, choćby jak jałmużnę nie rzucił na lekarstwo jego biednemu sercu. Co się działo z baronem dowiemy się gdy będzie w samotności, gdy rzuciwszy maskę światową sam zajrzy do głębi swej duszy.

Rozmowa ustała, gdyż w tej chwili Pan Ludski na prośby Augusta przedstawił go swej żonie. Baron przywykły do zwyczajów wło

skich, po wstał, z niechęcią aby zostawić miejsce nowo przybyłemu. Nie będziemy przytaczać tę nową rozmowę. Musiała biedna Julja wysłuchać cały potok komplementów, tysiąc brylantowych słówek, którymi osypał ją August, dość że po tej rozmowie Julja była zmęczona, a Pan August zupełnie zadowolonym z siebie.

Bohdan przechadzał się z Panem Stanisławem Ludomskim, wspomniał mu o interesie ojca, bolało go iż nie mógł znaleźć sposobu uniewinnienia dziwnej zagniewki ojca, prosił tylko aby mogące wyniknąć nieporozumienie nie oddalało go od osób dla których tyle miał szacunku i przyjaźni. Stanisław serdecznie go uściskał i rzekł:

– Wiem dobry Bohdanie co cićprzić musisz z tej nieprzewidzianej okoliczności; bądź tak wyrozumiałym ile ja na dziwactwo twego ojca, w szlachetnych twoich dążnościach i pracy znajdziesz osłodę, a szczęśliwym będę jeśli i moja przyjaźń zdoła w czemkolwiek być ci użyteczną.

Bal był ożywiony, pod koniec szła gorączkowy tańca coraz się zwiększała, jakby wiatrem pochwycone taneczniczki, leciały w objęcia młodzieńców; wstęgi, kwiaty, klejnoty migły przed okiem, jakby gerlanda z różnobarwnych motyli kołowała po falach światła i woni. Poranek zajrzawszy przez szyby spłoszył powietrzne taneczniczki, coraz goście ubywało, każdy śpieszył do siebie, dosnuć w sennym marzeniu nie jedną nadzieję szczęścia i roskoszy.

Po ęAŁtr miA, A MŁ%QM ŁWSWŁ 1 X) ZIAŁA.

A w oczach się mignęła szybka, dzika, radość, Jak kiedy dyligiin chuciom już się slaje zadość, Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku, Spocznie kio już na chwilę, choćby na mrowisku, Spocznie? ach! może tylko czoło pałając Położy, gdzie go żądeł czekają lysiące.

Mary a. Małczeski'

Pan baron Trazc odwiozłszy w swoim powozie Panią Julję do Ludomla^ pędził jak wicher do swojej rezydencyi. Leciał jakby na skrzydłach, a zdawało mu się iż jeszcze za leniwo powóz się toczy; łajał, przeklinał woźnicę, czy to ze znużenia, czy z niespokojności, czy z wiru lecących myśli, rad był co rychlej przylecieć do domu. Gdy stanął powóz, Benedykt otworzył podwoje, ofuknął go Pan baron, a sam udał się do swej komnaty, lecz i tu spokojność

mu nie wróciła. Przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju, ręką gładził po wyniosłym czole, i po długim namyśle rzekł:

– Sam zdać sprawy przed sobą nie mogę, to prawda, była czulszą dla mnie jak zwykle, ale ten Bohdan... ona go jeszcze musi kochać.

I znowu chodził szybkim krokiem, zapalił cygaro, rzucił się w głąb wygodnej sofy, oczy mu się zaiskrzyły, uśmiech szatański przeleciał po ustach, i rzekł z cicha sam do siebie.

– Cnota w kobiecie to duma, pobożność, miłosierdzie, to próżność, wiara, to samolubstwo, miłość, to gra imaginacyi. Na każdą chorobę mam potężne lekarstwo. Jeśli ją nie spalę moim płomieniem, jeśli jak głąz w ogniu nierozprysknie, wówczas, wówczas zdepcę jej dumną głowę, poniżę, splugawię, a przyjdzie chwila, w której wyciągnie ku mnie ręce, bo ja tylko będę mógł ją ocalić, przyjdzie chwila że jedno schronienie, będzie mogła znaleźć w moich tylko objęciach.

Parę godzin przesiedział Pan baron najednem

miejsku; zdałoby się że usnął, gdyby nierozwarte

oczy, gdyby nie myśli co z cicha przesuwwały

się po głowie, zostawując za sobą ślady: to

w zmarszczku na czole, to w rysach twarzy, lu^t> Intrygi

na ściśniętych ustach. Po tym pozornym letargu wstał, i usiadłszy pisał list w tych słowach:

„Kochany Eneasz! Wiesz ile mnie obchodzi los biednego Pana Gozdawy, stał się ofiarą nienawiści, pokutuje za grzechy swej matki. Wygnany z rodzicielskiego domu, opuszczony, skrzywdzony, może dziś się zemścić na swoich ciemiężcach, wszystkie dowody dzierzę w mem ręku, mogę go uszczęśliwić, lecz ślepe posłuszeństwo z jego strony jest najpierwszym warunkiem. Poprzysiądz musi, iż odtąd zrzeka się swej woli, ii krok jego każdy kierowany będzie inożą radą, dla siebie wdzięczności nie pragnę, gdyż wymagania podobne są udziałem głupich, będzie szczęśliwym bo to mi jest potrzebnem. Donieś mi o tem jak najrychlej i o powodzeniu twojem w Warszawie. Za odebraniem tego listu wyslij do Drezna. Zawiadom Pannę Fuulour iż może mieć dogodne miejsce guwernantki w domu hrabiny Orskiej. Niech wprost do mnie przyjeżdża dla odebrania potrzebnych instrukcyj. W ielce może być nam przydatną. Wchodzimy w ostatni akt naszego drammatu. nie wiem jak dla kogo, ale dla nas zakończy się pomyślnie. Spełnij wszystkie moje zlecenia i o onych nie omieszkaj jak najprędzej mi donieść.”

List zapieczętował i mruknął pod nosem. Ta miłosierna kobieta co całą ludzkość chciałaby w jednym kotle usmażyć, najłatwiej potrafi zaszcześcić nienawiść w młodem sercu, oddali ją od całej rodziny Orskich, pozyska zaufanie pupili, i piękna kiedyś sukcesorka będzie nowem dla nas narzędziem. Wybornie! Hrabina z dniem każdym niknie, prócz choroby coś musi ją trapić ; jakaś tajemnica pokrywa jej przeszłość, rzecz dziwna! że do tej pory nic zbadać nie mogłem, w niczem pozyskać jej zaufania. Przynajmniej jej wychowanica, za wpływem panny Vau- tour, będzie w naszej mocy. Może dla Gozdawy przeznaczę jej rękę. Zależec to będzie od obrotu , jaki nadać na korzyść moją wypadnie. O! głupi ludzie! wy nie wiecie co to za rokosz, potajemnie rządzić waszym losem, a nawet i życiem.

Turkot powozu przerwał zatrudnienie barona, i nim list zdołał ukryć, drzwi się rozwarły i ujrzał , z zdziwieniem stojącego przed sobą pana Bohdana Słutyńskiego. W jednej chwili Pan baron stał się innym człowiekiem, twarz przybra-

ła powłokę łagodności, ugrzecznienie formy dobrego towarzystwa, wyrazy pochlebne, zaprawne udaną szczerością, posypały się z ust barona, i trwożliwego Bohdana ośmieliły do wynurzenia powodu tak rannych odwiedzi.

–Łatwo pojmie pan baron, rzekł Bohdan, ile mi przykrości sprawia interes mego ojca z P. Hr. Orską, serce moje czuje całą piękność i szlachetność postępku pana Stanisława Ludomskiego, mój ojciec nie chce go zrozumieć, uprzedzony w swej sprawie czuje się być pokrzywdzonym. Chciałem go przekonać, lecz ani słowa, ani łzy, ani błagania zmiękczyć go nie mogły. Podługiej naradzie z panem Dziawkiewiczem prawnikiem i dawnym kolegą palestry, przystał na przyjęcie złożonej summy z tem, aby za jakieś koszta, czy straty, dopłacono mu jeszcze pięć tysięcy rub. srebr. Nie do mnie należy roztrząsać postępowanie mego ojca. Uprzedzenia czy w opinjach, czy we własnych czynnościach często napotykać się zdarza, ale wiem że od tego wymagania za nic nie odstąpi. Chcąc więc uniknąć hańbiącego i niesłusznego procesu, radbym, aby ta summa była mu opłaconą.

– Ależ kochany panie Bohdanie, przerwał baron; czyż godzi się tak niesłusznej ofiary wymagać od Pana Ludomskiego. On z chęcią wspiera nieszczęśliwych ale nie upartych.

–Nie jest to moją myślą odrzekł Bohdan, owszem radbym, aby nawet o wymaganiach mego ojca Pan Stanisław nie wiedział. Wiem o tem że nieszczęśliwa Pani Hrabina Orska nie jest w możności zaspokoić takowej pretensyi. Trapiony tą sprawą tak blisko mnie dotykającą, dręczącą więcej jak gdyby chodziło o mój dług własny, w rozpaczynie prawie przychodzę do szanownego barona żądać jego rady i pomocy.

– Mów Pan śmiało, rzekł baron, co będzie w naszej możności zrobimy, i chociaż pan mienisz mnie być zapewne zimnym głazem, ale bądź pewnym, że z tego głazu nieraz łzy rzewne płyną dla nieszczęśliwych.

– Spodziewałem się tak szlachetnej odpowiedzi, panie baronie, niewątpliwie, że w opinjach często się różnim z sobą, lubisz negocjować w słowach, a gpdzisz się zawsze gdzie idzie o dobro bliźniego. Umrę z rozpaczynie, ze wstydu, jeśli ten nieszczęśliwy interes nie skończę. Wyznaję ci panie baronie, iż mimo majątku znacznego mego

ojca jestem ciągle w niedostatku, przykrości, ztąd nieraz wynikające, odmówienie sobie wielu przyjemności znoszę cierpliwie. Nie na dostatkach zakładam szczęście, z innych sfer płynie ono na mnie, i czasem mam tyle iż go moje serce pomieścić nie może, iż radbym rozlać je na wszystkich, napoić tsm szczęściem świat cały. Myślałem więc, iż nigdy nie będę w przykrej konieczności potrzebowania pieniędzy, dziś ich pragnę, bo niemi okupić mogę dla siebie spokój, wstrzymać zamiary mojego ojca, które go splamią i wstydem okryją syna, najboleśniej wstydem, bo ojca postępów. Przychodzę błagać ciebie o pożyczanie mi pięciu tysięcy rub. srebr., oddać je obiecuję wtedy chyba, gdy będę w możności. Tę summę wręczonej mojemu ojcu, powiem, że je wymogłem od pana Stanisława, lub pani Orskiej na zaspokojenie jego pretensyi, tym tylko środkiem zdławię póki czas jeszcze, upór mego ojca, wstrzymam kroki prawne, zakryję jego chciwość przed publicznością.

Gdy skończył Bohdan i badał z niespokojnością na twarzy barona odpowiedzi, ten milczał, przeszedł się parę razy po komnacie, i po długim namyśle rzekł:

– Wchodzę w twoje położenie panie Bohdanie, i chociaż nie jest to bez trudności dla mnie, gdyż świat mniema mnie być bogatszym jak jestem rzeczywiście, jednak z miłą chęcią gotów jestem na twoje rozkazy. Niech to będzie słabym dowodem mej przyjaźni dla ciebie.

Dobył pieniądze i odliczywszy żadaną summę Bohdanowi, dodał:

– Wiesz kochany p. Bohdanie, że we wszystkim trzymam się porządku. Dokument musisz mnie wydać według formy prawa, z terminem rocznym, gdyż bez ograniczenia onego skrypt byłby nieważny. Na wypadek, którego z nas śmierci, ostrożność ta jest potrzebną, a ja z mej strony uręczam ci słowem, iż upominać się u ciebie nie będę, wówczas je przyjmę, gdy sam uznasz porę najdogodniejszą dla ciebie.

– Cóżbym ci nie zaufała zacny i łaskawy baronie, zgadzam się na wszystko co rozkażesz i będę szczęśliwy jeśli podasz mi sposobność okazania ile ci wdzięczny jestem, za wydzwignienie mnie z tego bolesnego położenia.

Interes był skończony. Baron nawet nie pozwalał dziękować, uważał tę pomoc za czynność naturalną nie wkladającą obowiązków wdzięcz-

ności. Jako człowiek dobrego wychowania starał się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, aby uniknąć podziękowań, aby wywieść gościa z przykrego stanowiska w jakim proszący zwykle się znajduje naprzeciw darzącego pomocą. Rozmowa płynęła nurtem czysto naukowym, literackim, i wpadła w morze uczuć. Zapał unosił Bohdana tak, iż po półgodzinnej rozmowie badawcze oko naszego filozofa wszystko mogło wyczytać w duszy poety.

– Piękna to chwila życia panie Bohdanie, rzekł Baron, w której wszystko ogarnąć możesz sercem, wszystko co piękne ukochać z zapałem, a każdy przedmiot podnosisz do ideału; później, później przyjdzie doświadczenie i zedrze ci z czoła cnoty wszystkie zmniejszą, w piękności odkryjesz skazy, a ta może, w której złożyłeś uczucia, myśli, chęci, cele, umieściła ciebie nie w sercu, ale w wyobraźni, poznasz że kochała cię głową.

– Baronie, musiałeś być zdradzony, musiał przedmiot być niegodny twych uczuć; lecz kto raz w sobie poznał uczucie nadziemskie, ten je na zawsze przechowa jasne i czyste; godne powrócić do źródła swego, do Boga.

– Nadto uzacniasz, panie Bohdanie, ziemskie juczucie. Lecz gdyby ono nawet godne było tak zaszczytnego pochodzenia, czyż ludzka duma, próżność, rachuba, mogłyby na przekór woli Boskiej rozdzielać istoty jedną iskrą miłości, przez niego złączone.

Kj – Cóż mogą ludzie? zawołał Bohdan, rozłączenie, przestrzeń, nędzne zapory dla ducha.

– Na małym przestajesz, rzekł Baron, od- L dzieliwszy ciało od naszej istoty, rokosz od mi- łości, namiętność od uczucia, cóż zostanie ?

– Zostanie czysta miłość bez kału, odrzekł Bohdan, święta za życia, za grobem nieśmiertelna.

ir Uśmiech szyderski przeleciał kilka razy na u- "stach barona. Kilka żartów lekkich ostudziły zapał młodzieńca, rozmowa słabła, i po powtórzeniu podziękowań za uczynność barona wyszedł. Bohdan wesół i szczęśliwy, iż przecucie go nie zawiodło, marzył przez drogę o baronie, mienił go być najzacniejszym człowiekiem, wypadkami życia musiał zwichnąć wiarę w uczucia, lecz dobro w nim przemaga, jako prawdziwy 'Niemiec wierny do grobowej deski usnutej fa- szywej teorii, trzyma się jej uporczywie cho-

ciaż ta w parze z życiem iść nie może. I tym sposobem wytłumaczył sobie Bohdan sprzeczność rażącoych zdań z uczynkami barona.

Pan Trzecz również dumał o Bohdanie i mrucał. Marzące to dziecko, poeta czyli pół wa- rjata, poznałem com chciał wiedzieć, złapałem go na wędkę , jest już w mojej mocy. Kocha Juli- ję, ale czyż ona go kocha? Drzę na tę myśl straszną.

– Julijo ! ty choć na chwilę musisz być moją. Dla Stanisława czyż nie dosyć duchów, które- mi się otacza, dla Bohdana oddaję cię na wieczność całą, dla innie będziesz tu na ziemi. Zgaś choć na chwilę moje namiętne żary, inaczej piekło nas wszystkich pochłonie. Gdy kończył te słowa, usłyszał strwożouy baron chrząknięcie nad swem uchem; nogi mu zadrżały, zbladł z przerażenia myśląc , że ktoś z żyjących mógł pochwytać tajemnicę leżącą mu kamieniem w głębi serca. Odwróciwszy twarz bladą krzyknął ze złością.

– Czegoś tu wlaź nie wołany przeklęty ośle. Szczęście twoje żeś głuchy i głupi, rzekł ciszej.

Benedykt skrobiąc się w głowę, mrucał pod nosem.

– Chciałem przypomnieć JW. Panu baronowi, ważny interes.

– Czy był tu kto ? może jakie zlecenie ?

■ – Nie, zwolna wybąknął Benedykt.

– Może listy z Warszawy ? : – Nie.

– Cóż przeklęty ośle?

– Mnie, i wstrzymał głos Benedykt.

– Cóż mnie ?

– Pan Baron mówił że wie.

– Nic nie wiem diable, mów co za interes lub ci łeb roztrzaskam.

– Przeszedłem przypomnieć JW. baronowi ważny interes, ale Pan swoim gniewem mnie przestraszył, że tylko com nie zapomniał. Chciałem mu przypomnieć, jako wierny sługa, poradzić, jako dobrze mu życzący , bo żal mi Pana.

I zaczął się kwilić jakby zbierając się do płaczu.

. – Do ostatniej niecierpliwości przyprowadzisz mnie ośle. Mów, coś chciał mi przypomnieć ? co radzić ? co się stało ?

– Nic, rzekł Benedykt, a! przyszedłem przypomnieć , że JW. baron dziś całą noc nie spał, a że go kocham, jako wierny sługa, przyszedłem

poradzić, abyś JW. Pan choć chwilę odpoczął, bo

Nie dał mu dokończyć baron, porwał go za kołnierz. Krzyknął przeraźliwie Benedykt, czując iż nogi nie dotykały się do podłogi, iż zaczepiony na palcach barona zawisł w powietrzu. Zdało mu się, iż czart go niesie do piekła, i wołał z całej siły: Ś-ty Antoni! Jozafacie! Benedyckie! Wojciechu! Bartłomieju ratujcie nędzną duszę moją¹. Z tym krzykiem upadł za progiem, słysząc silne zatrzaśnięcie drzwi za sobą.

Zerwał się Benedykt, pobiegł z żywością do swej izdebki, zacierając ręce i śmiejąc się do rozpuku. Pan baron chodził gniewny po swej komnacie, nie usłuchał rady Benedykta, sen ani myślał spocząć na jego powiekach, chodził i mruczał z cicha sam do siebie.

– Szczęście twoje żeś głupi i głuchy, inaczey na kilka łokci byłbyś pod ziemią, oniemiałbyś i ogłuchłbyś na wieki. Przeraził mnie ten błazen.... Nie cierpię tej sensacyi, która jednak krok w krok mnie ściga. Więcej męztwa, odwagi, prędszym krokiem dążmy do celu.

MX£@IĆii ! flinfi&H AWIÓE&j K4 Z SZAfANis

Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad la dużą księgą

Zniżona całem czuciem przed Stwórcy potęgą,

Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy po*

ciechą,

Zaraz mi brzmiało, jakby twego żalu echo!

To może Pan Bóg skarże lak żywe kochanie.

Murya. Malczeski.

W pięknym Ludomla pałacu kilka osób skupiło się w „gabinecie gospodarza, widać iż po rozejściu się dam z salonów, zeszło się gronko przyjaciół dla wypalenia cygar i przedłużenia pogadanki, która w późnej wieczornej porze zwykła się bardziej ożywiać. Wpół leżąc po wygodnych sofach i fotelach, puszczając błękitne zwoje dymku hawanny. Jak w pozach, tak i w rozmowie usunięte ceremonjalne formy, któ-

Intrygi

i 1

re są koniecznym wędzidłem dla nieprzekroczenia granic przyzwoitości, tu zaś puszczono wolne wodze myślom, dowcip się zaostrzał, rozpałała się wyobraźnia, wszyscy się śmieli i głośno gwarzyli, jak zwykle na drugi dzień po balu. Nie brakło osnowy, toczyła się walka komuby oddać pierwszeństwo piękności. Spór był żywy, bo od początku świata rozdzielenie sądów było i być musi. Ta kwestya niby estetyczna mieści w sobie siłę odrębną; zmysł ducha oddzielny od pięciu naszych zmysłów, którym patrzy, którym harmonizuje, dwie dusze. Pan Jan i pan August, jako wychowawcy wykwinnych salonów najwięcej dowodzili, krzyczeli oparci, na bon genre du gmml monde, wszystkie ruchy, znalezienia się, odpowiedzi krytycznie rozbierali. Ze wszystkich przytomnych jeden tylko Bohdan i baron nie mieszały się do rozmowy. Poeta nie chciał swój ideał poddawać pod sąd zimnych serc salonowych, którzyby dowcipem skazać mogli czystą, anielską istotę; filozof milczał, bo wrząca namiętność nie cierpi rozbioru, kryje się w głębi serca poki nie wybuchnie szaleństwem. A może wstydził się okazać, że rozum, ów pan potężny świata, nie potrafił zwyciężyć pospolitą brudną żądzą. Zostawmy gwarzące towarzystwo, które się bez nas wybornie zabawi, a przejdźmy w drugą stronę pałacu.

Pokój był długi, obszerny, posadzka dywanem miękkim wysłana, porozstawiane kozetki, niskie fotele, mnóstwo półek z książkami, teki z rycinami, kilka pięknych obrazów, stanowiło ubranie saloniku; za pierwszym rzutem oka, można było poznać, iż to była ustroń do samotnych dumań, pracownia, a razem swobodny kącik do łez i modlitwy. Już dawno było po północy, i gdy goście w jednym końcu domu gwarzą, i czas upływa na wesołej rozmowie, tu przed relikwiarzem, i krzyżem Zbawiciela klęczy kobieta; wzniesione oczy zdaje się blaskiem niebios oświecone, i wzrok nie ziemski, coś anielskiego miała w swem wejrzeniu, bo nie świat ale niebo musiała mieć w tej chwili w sercu. Płyną łączy jedna za drugą jakby perłowe paciorki różańca, przedzielone czasem cichym westchnieniem; ręce w krzyż złożone, włosy w nieładzie rozrzucone, a przytem wyraz zachwyty, czyniło ją podobną do pięknych aniołów Rubensa, którzy zdaje się że żyją, świecą, blaskiem tylko miłości dla Pana niebios i ziemi. Zamiast skrzy

deł wznosiła się po nad ziemię nadzieją i wiarą, i jakby wraz z chórem aniołów śpiewała duszą hymn najczystszej miłości. Niemasz szczytniej- szego wyrazu, uzacniającego człowieka nad wszystkie stworzenia ziemi; niemasz większego dowodu nieśmiertelności naszej jak chwila szczerej, gorącej modlitwy. Duch wyrrywający się do Boga, rozpędziwszy myśli i żądze ziemsko- ści podnosi postać ludzką do ideału najszczytniejszej piękności. Patrzcie na łzy rozpaczy, trwogi, boleści, towarzyszy im wyraz namiętności lub cierpienia. Spójrzycie na łzy modlitwy, toczą się one zwolna i z błogością jak gwiazdy lecące po niebie. Modlitwa jest najrzeczywist- szym objawem i potęgą ducha.

Po godzinnej modlitwie Julija powstała, lecz jeszcze nie myślała o spoczynku. Usiadła jakby ze znużenia, jakby jej sił zabrakło; długo w milczeniu dumiała; gdy stąpanie w przyległym pokoju przerwało jej myśli, drzwi się rozwarły i ze zdziwieniem ujrzała przed sobą Bohdana. Pożegnał on towarzystwo zgromadzone u Stanisława, które przerzadzać się zaczęło, a przechodząc przez salon przyległy do pokoju Julii, jakaś nieznana siła wiodła go, aby choć wzrokiem rzucić w ustron jej dumań i modlitwy, bo czuł sercem że w dumaniach i modlitwie musiał być jej przytomnym, że jej usta przed Bogiem tylko śmiało wymówić mogły jego imię.

– Nie wiedziałem że tu cię znajdę jeszcze Julijo. Traf ten niespodziany obdarzył mnie chwilą szczęścia, tak dawno jak już byliśmy z sobą tylko razem. Zawsze ten świat, ci ludzie tak nieznośni dla mnie przy tobie, zawsze nas otaczają. To mnie przypomina złote chwile naszej pierwszej młodości.

– Które nigdy nie powrócą, odrzekła Julija, i dobrze że już ubiegły. Zawsze przed Bogiem drżałam o ciebie, o siebie, o przyszłość, o wieczność całą. Mój drogi, niewolno tak kochać, tyle kochać jakeśmy siebie kochali.

– Go mówisz Julijo! przerwał Bohdan, czyż może być jaka zmiana w twem sercu, czyż czas co zmienia wszystko na świecie, i twe serce zmienić może? Czas ma koniec, a duchy nasze nieśmiertelne, co tu się poczęło, w nieśmiertelności się ożywi, i istnieć musi na wieki. Nic- trwoż mnie Juljo, stracić wiarę w twą miłość, jest to dla mnie wszystko postradać na ziemi. Ty jesteś mojem ogniwem między niebem a ziemią,

zerwij ten łańcuch, a wpadnę w odmęt rozpacz i niewiary, bo wówczas czemuż by wierzyć można.

– O mój drogi, rzekła Julja: czyż myślisz że to w mojej mocy zapomnieć o tobie? Czyż myślisz że ja rozumiem życie bez myśli o tobie? Zawsze ty, i wszędzie ty jesteś zemną, i będziem kiedyś z sobą na wieki. Bohdanie! niemniej cię kocham jak dawniej, może tylko święcej, ale patrz w moje serce, drętwieje ono czasem z bólu, stęrałam siły w cierpieniu, gdyby nie Bóg nie wieczność zastygłyby one wraz z życiem.

– O nie Juljo! zawołał Bohdan: nie chcę cię widzieć-inną, nawet nie chcę znać cię lepszą, gdy mi kiedyś staniesz w postaci anioła, piękniejszą i świętszą dla mnie być nie możesz. O pomnij Juljo iż gdy jeden promień naszej miłości zechcesz zagasić, zdławisz płomień cały.

– Bohdanie, czyż nie wiesz gdzie jest ognisko wielkiej miłości, one rozstrzela w tysiącach promieni i ztamtąd was wszystkich moich kochanych rozświetla i ogarnia, a bez tej miłości, która jest u Boga niema trwałych uczuć na ziemi; tylko taką miłością unieśmiertelnić je można.

– Juljo, w jednej miłości żadnych się nie trzy- fyiilm teoryi. Wiem że kocham ciebie, i przed Bogiem nie wstydę się mej miłości czuję, i tem czuciem ogarniam ciebie, życiem twojem żyję, w spojeniu się z duchem twoim czuję całość jestestwa mojego, tyś moja Juljo, moja na wieki.

I Bohdan cały drżący, z zapalem młodzieńczym ^oaj^wał jej ręce. Łzy mu się mimowolnie coś mówić; lecz nagle wyraz twa- rzy mu się zmienił, brwi zmarszczył, ścisnął pięście, i w jedną szybę okna utkwiał waroS* przerażający. f

– Co ci jest mój Bohdanie? zapytała zdziwiona Julja. "

– Co mi jest Juljo? widziałem tuż za oknem parę oczu hyjenu, czy szakala gdy zwietrzy dwa trupy. Juljo te oczy nas zabijają, bo tylko szatan może spojrzeć takim piekielnym wzrokiem; po- ihałem jego zazdrośhe oczy, poznałem barona, drugi stał za nim, lecz go nie dojrzałem, może jego sługa.

– Przywidzenie mój Bohdanie. Coby baron miał tu robić, musiał fuż dawno wyjść od Stanisława.

– Nie Juljo, Ustawiłem go przy nim. Z kilku

słów co mnie powiedział, z kilku wejrzeń, z całego jego postępowania ze mną i Stanisławem, po tem dzisiejszein szpiegostwie, po wyrazie twarzy gdy z tobą na balu rozmawiał, odkryłem wielką jego tajemnicę. Juljo! baron szalenie zakochany w tobie.

„ ■ ■ V ◆

– Bohdanie! jaki ty dziwny i młody; tove uczucie jeszcze się otacza podejYzenieraMjggfuditf- ** .ściją. Baron, ten scepfyk, ten głaz, miałby^^.

' B^{ohlJanie}> być nie może, nie tylko ludzie, ^l^i cienie trwożą ciebie.

y l^dai .moje przeczucia się nie ziściły; lecz ten człowiek Juljo jak zły duch stanie między V nami. l^iedawno mi^tiawefp^ną usługę wy- , świadczył, ale dziś jak rozstrząsam w myśli[↓], wszystkie jego słowa, obawiam się podstępu z jego strony, bo on nie stanie z otwarłem czołem przeciw nieprzyjaciela. Wówczas bym się go nie bał, lecz zawiść ma broń sobie własc* wą, podłą intrygę i potwarz.

Julja chciała łagodnymi słowami uspokoić Bohdana, i kilką wyrazami pełnemi czułości spędziła przykre wrażeni*? Znikły posępne chmury przeczucia, znowu gwiazdka nadziei błysnęła; upromieniony szczęściem, nie mbgł mówić tylko .6 swoim szczęściu, że jest kochany. Czuła to Julja, lecz strwożona była, nie baronem, ale u- czuciein Bohdana. Ona nękana cierpieniem odrywała się coraz od ziemi, jeśli kochała Bohdana,' (o widząc go w przeszłości przed Bogiem, bo cnotliwa Julja czyż mogła marzyć o szczęściu na ziemi ? on zaś ją kochał całą mocą i świeżqyw młodości. Kochał ją czystą, świętą nwością, nie rozumiał bez niej życia na ziemi, bez niej i w niebie tęsknoby mu było. Biedni 1 nie wiedzieli że kierunki ich uczuć się rozdwajały. Ona za życia btfa już poza światem, ztamtąd ogarniała miłością świat cały. Bohdan jak krwawa gwiaiii^TUłyszczala na niebie jej uczuć, lecz wszystkie jej kochane gwiazdki tonęły w słońcu ^gól^ej inTOsci. On zaś nietylko świętość widział -wśród nieba, ale czuł ją i na ziemi, \m n&ił cwsty miłości dla ziemskiej istoty. Z nią krokw krbk, dłoń w dłoni biegłby z ro- skoszą po cierniach, bocianiej żadna rana nie krwawi i boleść nic boli. I on patrzył w niebo, lecz jako na nagrodę cierpień, jako na nowe życie bez cierpień, jato na świat szczęśliwy, gdzie ich serca i-duchy zleją się z sobą na wieki.

Druga po północy na zegarze wybiła. Po dłu

giem kilkanaście razy powtórzonym pożegnaniu wyszedł Bohdan i wśród ciemnej nocy leciał do wioski ojca. Julia długo jeszcze dumiała. Kilka razy uklękła, i wstała, modlić się nie mogła, po długim rozmyśleniu rzekła sama do siebie.

– Nie, ja go widzieć nawet nie powinnam, on mnie nadto kocha. Boże jeszcze cios nowy dla niego, dla twego wiecznego szczęścia Bohdanie, każda ofiara za mała. ^ I biedna Julia zalała się łzami. Modlitwa nareszcie przyszła ulżyć jej bóleści i pokój na nowo wstąpił do jej duszy.

Sen trochę pokrzepił jej siły, nazajutrz lżej jej było na sercu, ledwo powścią, służąca wręczyła bilecik krótki od męża, iż dla bardzo ważnego interesu musiał wyjechać na parę tygodni z domu, niechcąc ją rzucać bez pożegnania, i w niepokoju, te kilka słów jej zostania. ^Zrazu zdziwił Julję tak spieszny wyjazd Stanisława, zwłaszcza iż nie zwykł był z chęcią na tak długo wydalac się z domu, lecz cóż mogła złęgo upatrywać w tej podróży, rozsądek przyszedł w pomoc biednemu sercu, i uspokoił trwożliwość żony.

Zaledwo Julia skończyła ubranie, oznajmiono jej barona Trzasc. Chętnie mu wejść do swego

pokoju dozwoliła w nadziei dowiedzenia się z pewnością o celu tak nagłej podróży Stanisława. Baron wszedł bładym spokojną twarzą, po zwykłym powitaniu, rzekł usiadłszy blisko Julii.

– Przecież znalazłem chwilę wolną pomówić z Panią; od tej chwili zależy szczęście jej własne, jej męża i moje, i czyjeś jeszcze.. .

– Baronie, przerwała Julia, nie mam tajemnic, niemasz potrzeby krępować twych myśli. Jak przed Bogiem tak i przed ludźmi otwarte mieć serce potrzeba.

– Wiem Pani, że niema skrytości dla tych, co klucz tajemnicy trzymają w swem ręku, lecz nie od tego chciałem zacząć, bądź cierpliwa.

– Słucham cię baronie, z niejaką trwogą odrzekła Julia.

– Półtora roku prawie ciągle jesteśmy z sobą, rzekł baron, nie dziw że twoja piękność, Tozum i dobroć zniewala każdego, z głazu wytrysłyby iskry obok ciebie Pani, cóż dziwnego, że serce które nikogo nie kochało, rozplomieniło się szaloną miłością dla ciebie.

– Baronie, co znaczą twe słowa, dażem ci powód do nich?

– Musisz wysłuchać wszystko, podnosząc głos

rzekł baron, płomień stłumiony wybucha gwałtowniej i w koło wszystko niszczy i w popiół obraca. Pękły wędzidła rozumu, puściłem wodze mej namiętności, albo ulegniesz albo jej płomień cię spali i zabije. Jeśliś nie odgadła że piekło noszę w mem sercu, przyszedłem albo ugiąć kolano przed tobą, lubo cię wtrącić w otchłań męczarni która mnie pożera.

– Baronie! czyś postradał zmysły?

– Nie Juljo, do tej chwili byłem szalony, myślałem że cię potrafię, dobrocią, rozumem, zniewolić, lecz wczoraj zasłona z oczu opadła, poznałem że Stanisław ma twą rękę, a Bohdan serce, poeta, marzyciel, bigot by się rozczarował, ja mimo to wszystko kocham cię jeszcze silniej i namiętniej, ja wieczność, duszę, świat cały poświęcę dla ciebie.

Julja chciała się zerwać z miejsca, chciała wybieść z salonu, ale baron silnie ją zatrzymując rzekł:

– Pani, nie sądzę że podobny do wszystkich twoich wielbicieli, gdy ja kobiecie wyrzekłem, „kocham” musi wybrać miłość lub męczarnie, życie lub śmierć.

I dodał z uśmiechem.

– Nie trwóż się, nie przychodzę tu po teatralnemu ze sztyletem, moja ręka dosięgnie cię w salonie, jeśli te przed tobą same się nie zamkną, bo gniew mój rzucony na ciebie zabłyśnie hańbą na twem czole. Myślisz że znajdziesz opiekę w mężu, ten warjat odepchnie cię od siebie, odtrąci jak nierządnicę, może w kochanku, tego nie ujrysz już więcej, dzień dzisiejszy jest twoim ślubem ze mną, ni ludzie, ni mąż, ni kochanek, nawet niebo nas nie rozłączy. Znajdziesz we mnie albo obrońcę, albo mściciela.

– Myślisz że kobieta ulęknie się twej groźby. Baronie, wszystkie twe słowa biorę za chwilę szaleństwa, gotowam ci nawet wszystkie obelgi przebaczyć, ale idź z moich oczów, wyjedź na zawsze z domu, któfemu ubliżyć odważyłeś się, któremu za przychylność odpłaciłeś hańbą. Po- twarzy się nie lękam, winowajca tylko drży przed tak podłą bronią. Baronie wychodź!

– Juljo! nie za sobą, lecz błagam za tobą, Juljo ty nie znasz mojej potęgi, jedno słowo przychylnie, promyk nadziei przemieni lwa wściekłego w posłusznego baranka, z tyrana stanę się twym sługą. Juljo jedno słowo pociechy, nadziei.

Intrygi

\ 2

– Ja długo znoszę obelgi. Panie baronie, zapominasz, że jesteś w moim domu, że nie jestem twym więźniem.

– Lecz nim będziesz. Upokorzę twą dumę, zemszczę się mej zniewagi, drżysz przed moim gniewem. Niebo i piekło nie zasłonią cię przedemną. Przyjdzie czas gdy z twojej boleści i upokorzenia urągać się będę, gdy łzami twoimi zagaszę płomień mego serca, gdy uściskiem cię spalę, zabiję.

Julja uderzyła w dzwonek, baron jak szatan zapienił się wściekłością, i zgrzytnąwszy zębami wyszedł zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udalnej tkliwości

Ciesz się ich niedolą lub szczęścia zazdrości, Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda, Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda.

Marya. Malczeski.

Na jednej z główniejszych ulic Warszawy; w pięknym pałacu, mieszkał niedawno przybyły doktor Eneus. Kilka szczęśliwych, prawie cudownych praktyk, zjednały mu wziętość powszechną. Trafne odgadywanie choroby, nowa metoda leczenia, zasadzająca się na magnetyzmie dla kobiet, a galwanizmie dla mężczyzn, sprawiły zapał powszechny dla arcy-uczonego medyka, a przytem najbardziej ujął publiczność swoją bezinteresownością. Od bogatych cieszył się małym wynagrodzeniem, ubogie dziewczę darmo; magnetyzował, a chorych, pokurczonych, bezpłatnie.

nie galwanizmem prostował. Nowość, oryginalność i bezinteresowność, te trzy filary na których wspiera się kolosalna wziętość, sprawiły, że ta uwieńczona została blaskiem niczem nie zaćmionym, modą. Po dwu miesięcznym pobycie w stolicy, Pan Eneus został modnym doktorem; a to potęga nie mała. Rozwarły się przed nim najwykwitniejsze buduary Eleganek, które albo dla siebie potrzebowały magnetyzmu, lub dla mężów galwanizmu. W kilku pacyentkach rozwinął stan jasno widzenia, bredziły więc we śnie i na jawie. Między cudownymi wyzdrowieniami mianowano radykalne wyleczenie Panny Yautour; ta znakomita dama przybyła z Niemiec do Warszawy, zwabiona sławą Doktora Eneusa, kilka lat, jak mówiono, nie miała władzy w żadnym członku; codzień publiczność, nawet ulicznicy widzieli, jak ją noszono w lektyce do laboratoryum naszego medyka. Po lygodniowym leczeniu, ta sama publiczność, ciż sami ulicznicy, widzieli ją przechadzającą się o własnych siłach, i wkrótce potem odjeżdżającą z prostemi nogami i rękami, jak mówiono na Wołyń do bardzo bogatych swoich krewnych. To cudowne leczenie powtórzyły i dzienniki krajowe; fakulteta medyczne coś temu zaprzeczały, ale to tak rozumnie, że oprócz lekarzy nikt tego nie zrozumiał. A wreszcie zazdrość rośnie wszędzie jak pokrzywa; mogła więc wybujać i w sferze uczzonej, aby pochłostać i poparzyć szczęśliwego nowatora. Ale w końcu, co nam do tego, wracajmy do naszej powieści.

W owym pięknym pałacu cośmy wyżej nadmienili, w bogato przybranym salonie, siedział chudy jak szkielet Pan Eneus. Czarne włosy prawie na ramiona mu spadały, twarz śniada, policzki zapadłe, błyszczące oczy, a przytem wyraz dowcipu i przenikliwości, tworzyły odznaczającą się postać. Ubiór jego był czarny, stopa mała ujęta w lakierowany trzewik i jedwabne czarne pończochy. Koszula batystowa a z pomiędzy fałdów koronkowej żaboty przezierała perła rzadkiej wielkości. Na przeciw niego siedział człowiek do trzydziestu lat' wieku mający, powabnej urody: jasne włosy modnie utrefione spływały z wyniosłego czoła, błękitne łzawe oczy z pod czarnych długich rzęso w smutne wejrzenie rzucały, wąż jasny, wijący się, osłaniał ziękka różane usta, rumieniec rozpływał się po białem licu, młodość i zdrowie upromieniały

12*

jego piękną postać. Ubiór wykwinny, według wszelkich wymagań mody, obejmował kształtne formy ciała i silną budowę młodzieńca.

Paląc cygara i popijając pieniącego się szampana, wiedli następującą rozmowę

– Mój kochany Edwardzie, rzekł Doktor, dzisiejszy wieczór spędzimy u siebie, jeśli jakim przyrzeczeniem nie jesteś związany, bo coś nasze tutejsze elegantki zaczynają smakować w twoim towarzystwie. Kilka z nich od niechcenia niby, pytały mnie: zapewne Edward Gozdawa spędzi dzisiejszy wieczór u pięknej Hrabiny; drugie uskarżały się, że od dni kilku ciebie nie widzą, że pewno księżna uwięziła cię swemi ponętami. Stare z przekąsem bąkają, że gdzie Pan Edward Gozdawa jeśli nie na balu? że dziś kobieta tylko co pracuje nogami, może u nóg swoich widzieć młodzieńca. To wszystko oznacza, że zaczynasz mieć wziętość, kochany Edwardzie, trzeba się trochę sobą podrożyć; jednak nie zaniedbuj starych kobiet, bo przez nie tylko trafić możesz do młodych.

– Rzecz dziwna, kochany Doktorze, że szczerze mówiąc, żadna do tej pory mi się nie podobała. Ten świat wasz elegancki, prócz po wierzchownych błyskotek, dowcipu, urody, ma coś dla mnie przykrego, smutnego; zdaje mi się że żyjąc z niemi choćby lat kilka, zawsze człowiek jest obcym. Nie myśl, nie uczucie, skleja te towarzystwo; ale miłość własna lub interes. Jest to widowisko zabawne; każdy chwali siebie, a gani wszystkich. Każdemu się zdaje że jest wyższym, zacniejszym nad drugiego, pieniądze, rozum, honory, urodzenie, walczą o pierwszeństwo, każdy z tych przedmiotów jest dobry i użyteczny, jednak w ciągłym są sporze z sobą, bo każdy z osobna chce być bożyszczem, chce hołdu, aby miał rokosz rzucić wzrok pogardliwy tłumowi wielbicieli.

– Mój Edwardzie, przerwał Eneus, coraz się stajesz większym moralistą, ludzi nie poprawisz, wreszcie gdyby się stali bardzo moralnemi, według mnie, światby przestał istnieć, bo tylko ta wieczna emulacja we wszystkim, pięcie się do coraz wyższych celów, postęp nieustający, chęci nigdy nienasycone człeka; stanowią życie, ruch świata.

– W istocie, Doktorze, że stworzenie rozumne według rozlicznych władz mu danych, urzeczywistniając każdą myśl swoją, chcąc ją wi-

dzieć żyjącą w czynie, duszę świata wprawia w ruch nieustający. Ta olbrzymia machina od początku świata idzie, tworzy różne wyroby moralne i materialne, chociaż robotnicy wciąż się zmieniają. Lecz cóżby powiedziano żeby na warstacie przeznaczonym do wyrabiania bogatych tkanin, zajmowano się przędzeniem kłaków. Krótkie życie człowieka nie wystarczające na urzeczywistnienie wszystkich myśli i żądań, dowodzi, iż jest tylko najemnikiem do wielkiej budowy ludzkości, zostawia zawsze niedokończoną pracę dla swych następców, nie powinna więc przewodniczyć, mu myśl, że dla siebie pracuje, egoistyczne żądze są podrzędne, i wynikają z natury zwierzęcej człowieka, myśl dobra powszechnego powinna być celem rozumnej istoty.

– Na fałszywej jesteś drodze, kochany Edwardzie, coraz się więcej zadziwiam twymi myślami, nie mogłeś je wysnuć z praktyki. niesprawiedliwość losu którego doświadczyłeś, powinna ci była otworzyć oczy, iż każdy tu pracuje tylko dla siebie, myśli o sobie, dąży do dobra własnego i nie wybiera środków do jego osiągnięcia. Prawią nam rękodzieła jak być powinno, lecz tak być nie może. Księża wołają, bądźcie dobrzy i cierpcie! piękna mi zachęta! Wiara odsyła po nagrodę wówczas, gdy się stanę garścią prochu, śliczna mi spekulacja. O! nie, Panie Edwardzie, największą księżą mądrości jest życie. Zastanów się nad biegiem twoich własnych wypadków a poznasz co warci owi ludzie, ta ludzkość, pojmiesz, że każdy dla własnego tylko szczęścia pracować powinien, że każdy środek godziwy do dopięcia tego istotnego naszego przeznaczenia.

– Nie, Doktorze, w chwili nawet gdy doznawałem największej niesprawiedliwości od ludzi, litowałem się nad nimi, bo wiedziałem że źle czynią. Nieodebrałszy bardzo starannego wychowania; mając zaszczepione tylko głęboko w sercu główne prawdy Wiary; czułem w duszy jakiś głos nadziemski, co mnie oświecał we wszystkich przygodach mego życia, co mnie wskazywał drogę której mam się trzymać.

– Czy drwisz ze mnie? kochany Edwardzie. Przecież znam kilka czynów twoich, nie potępiam cię za nie, gdyż kto głodny musi choćby gwałtem, choćby po kryjomu nabyć żywności. Komu braknie pieniędzy nie dziw, że musi ich dostać, i zdławić ten głos duszy, jak nazy

wasz, który zachęca raczej z głodu umrzeć, niż dotknąć się cudzej własności. Dziś będąc w dostatkach stajesz się dziwnym purystą, cóż to będzie, jak wygrasz proces z P. Ludomskim, co ci zagrabił cały majątek ? Plenipotent twój donosił, że sprawa twoja na dobrym stopniu.

– Kochany Doktorze, niedziw że inne masz o mnie wyobrażenie, że może znasz mnie ze złej strony , przeszłość moja ciemna, nieznana, splugawiona potwarzą, co tak łatwo na sierotę i ubogiego rzucić można. Ty niewiesz, poczciwy Doktorze. jaką bolesną stronę ma nędza, lżejsze są łachmany na grzbiecie, jak wyraz łotra zapisany ubóstwem na czole, wyraz tak czytelny dla wzroku podejrzliwości i uprzedzenia! Cnotliwy , z uśmiechem pogardliwym cię wita mówiąc: „zdrów jesteś, pracuj, wstydz się rękę wyciągać—i to za grosz jeden! musisz wypić ten kielich trucizny. Mniej poczciwy powie ci: „łotr jesteś chłopcze, włóczęgów nie wspieram." Egoista, każe cię wypchnąć galonowanym lokajom, albo psami wyszczuć z dziedzińca... Ubogi i łotr jedno mają znaczenie na świecie. Przeszedłem przez wielkie próby Doktorze, znam wiele bóleści, wiem ile boli niesprawiedliwość, dla tego czuję jak być powinno na świecie. Co do mego brata Stanisława, postępek jego mnie zadziwia, jeśli żądam od niego zwrotu mojej własności , nie czynię to przez chciwość i pewno odzyskanego majątku na złe nie użyję. Dobroć twoja i dotąd nieznanego mi protektora barona Trazc przekonywa, że są ludzie poczciwi i że Bóg o- piekuje się sierotą.

– Kochany Edwardzie – rzekł niby rozczulony Eneus: wiesz że cię kocham szczerze, ~"bez- interessownie, radbym poznać i serc^ twoje i przygody życia twego. Przyrzekłeś mi wszystko opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami, teraz jesteśmy sami, nikt nam nie przeszkodzi. Pokiś mnie dobrze nie poznał nie byłem natrętny, wiem że to będzie dowód twojej przychylności dla mnie, bo nie jeden pewno bolesny wypadek twego życia, odnowi ci ranę. Będę się starał, aby przyjaźń moja zupełnie zagoiła blizny twego biednego serca.

– Jeśli to ma być dowodem mojej przychylności dla ciebie zacny mój opiekunie, najskrytsze tajemnice mego życia odślonię przed tobą. Raz ostatni przebiegnę myślą tę drogę pełną cier

pienia i przepaści, z której miłosierdziem Boga i twoją przyjazną ręką wydzwignięty zostałem.

Obaj naleli po kielichu pieniącego się szampana, stuknąwszy niemi i wychyliwszy aż do dna, jakby na oznakę szczerzej przyjaźni, usiedli, a Gozdawa w te słowa zaczął opowiadanie smutnych wypadków swego życia.

©POWSASAWIE CiliAWT,

Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija, A kiedy radość mignie , to zaraz i mija Jak promyk, co z obłoków na wyirosłe góry Błyśnie i znów go skryją wiatrem gnane chmury.

Marya. Malczeshu

Urodziłem się w Ludomlu w czasie półtorarocznej podróży pana Starosty Ludomskiego za gra - nicą, pod nazwą podrzutka, wychowańca Pani starościnej byłem chowany w jej domu, oddany pod opiekę starej ochmistrzyni. Nie pamiętam pierwszych chwil mego niemowlęctwa; później dowiedziałem się od jednego poczciwego sługi, który nieraz nad moim stanem się litował, iż te upłynęły między czeladzią w zupełnem zaniedbaniu. Urodzenie moje miało być tajemnicą dla całego świata, lecz jak zwykle czyn który chcemy ukryć zdaje się spoczywać pod pieczęcią

Intrygi

13

tajemnicy, gdy temczasem ciche poszepty z ust do ust przelatując pokryjomu, czynią go jawnym. Jedną więc tylko pani Starościna myślała, że moje urodzenie jest tajemnicą dla świata. Pan Starosta Ludomski nim powrócił do domu, wiedział już o wszystkim; był to zacny, pobożny i prawy człowiek, z tej dawnej szlachty polskiej, co gorliwie strzegła zacności domu, która od rodu do rodu oddawała potomkom klejnot szlachectwa żadnym występkiem niesplamiony. Przytem mężka- jego dusza i odważne serce było ozdobione dobrocią i niewypowiedzianą słodyczą. Gdy pan Starosta powrócił z podróży, za- ledwo uściskał pomieszana żonę, za ledwo dwóch cały powitał swego pana, gdy ten tuląc do swych piersi siedmioletniego Stanisława zapytał z łagodnością starościny, „Gdzież syn mój nowonarodzony? niech go przyniosą, abym zlał na niego błogosławieństwo ojcowskie i polecił go Najświętszej Pannie.” Starościna nie wiedziała z razu czy to. szyderstwo, czy przebaczenie, chwilę stała w milczeniu, później myśl jej przyszła skorzystać, z niewiadomości męża; .wybiegła po mnie. W jednej .chwili, jakem się później dowiedział, zdarto ze mnie grubą koszulkę , prawie z radowiny, wykąpano w różanej wodzie, obwinęto cienkimi batysty, i raptem stawszysię paniątkiem, matka moja na rękach własnych przyniosła mnie do męża. Starosta pobłogosławił, i zdjąwszy ze swych piersi złoty medalik z wizerunkiem Najświętszej Panny włożył mi go na szyję.

—Och! kochany Doktorze, rzekł z rozrzewnieniem Edward , pokazując i całując medalik: ten skarb zawsze leży na mem sercu, błogosławieństwo z nim zlane więcej cenię jak ojcowskie, bo było połączone z przebaczeniem dla mej matki, ze zdjęciem hańby z niewinnego dziecięcia i z boleścią, którą za grzech żony Bogu z pokorą poświęcił. Ten medalik po śmierci oddam chyba Bogu, on dla jego pięknej duszy rozpromieni się wieczną w Niebie nagrodą!

Otarłszy łzę co mu po licu spłynęła, po chwili milczenia, wrócił Edward do ciągu swego opowiadania.

—„Dzieciństwo moje pamiętne mi jest sro- giem postępowaniem mej matki. Żadnej pieszczoty nie znałem, wszelkie rozrywki były mi wzbronione, łajania i kary codziennie mnie spotykały, posądzano o różne występki, o których dzie-

cinne moje pojęcia nie miały nawet żadnego wyobrażenia, przypisywano mi różne łotrostwado których się nie poczuwałem, a tak niby chroniąc od złego oswajano z występkami i nauczono iż zależy od mej woli je popełniać. Matka moja nie tylko że nie miała żadnego przywiązania do mnie, ale starała się jeszcze zniechęcić serce starosty ku mnie, a gdy jego pocziwa ręka czasem z litości mnie pogłaskała, wywoływała to cierpkie wymówki, że nie godzien tej łaski, że łagodność mnie psuje, że tylko srogo-, ścią i różgami krnąbrne moje narowy wykorzeń można. Nadnaturalny ten wstręt mojej matki do mnie, wytłumaczyć inaczej sobie nie mogę, tylko że w oczach jej byłem ciąglem przypomnieniem jej występkę, żywym świadectwem oskarżającym w każdej chwili jej sumienie, istotą, która upokarzała ją przed mężem, a hańbiła przed światem. Gdym czasami zachorowałem, pod pozorem zaraźliwej choroby odsyłano mnie na folwark, gdzie bez żadnych lekarstw i starań, a nieraz o ciężkim głodzie walczyłem ze śmiercią. Czasami przychodziła do mnie moja matka, ale zawsze, aby za coś wyłajać, a gdy natura pokonywała chorobę, gniew jej się zwiększał, jak

by nie rada, że Bóg mnie przy życiu zachował, powtarzała zwykle: „Gdyby to było co pocziwego, dawnoby umarło” lub: „Co ma wisieć nie utonie.” Takieimi wyrazami objawiała się jej macierzyńska czułość.

Nareszcie przyszła szczęśliwa chwila, że miałem opuścić dom rodzicielski. Wysłano mnie do szkół, chociaż oddano mnie do najsroźszego nauczyciela z zapowiedzeniem, że jestem krnąbrny, nieposłuszny, że jestem w nałogu najbrudniejszych wad, i najgorszych skłonności; chociaż spotwarzonego trzymano jak w niewoli; mimo to jednak pobyt mój w szkołach w porównaniu tyranii domowej, wydawał mi się rajem. Przykładałem się do nauk z ochotą, byłem obdarzony od natury wielką pamięcią i żywym objęciem; bez wielkiej więc pracy celowałem nrędy moje- mi kolegami, co rodziło zawiść i zazdrość w moich towarzyszach, i stało się przyczyną niejednej przykrości. Sześć lat spędzonych w szkołach, rokiem mi się wydały. Po skończeniu nauk wezwano mnie do rodzicielskiego domu, kilka dni tylko upłynęło w pokoju, pocziwy starosta powitał mnie jak własnego syna i wart byłem tego świętego uczucia, bo kochałem go jak Ojca.

Matka maja zajęta pomyślnością Stanisławą, żyła tylko jego szczęściem, przyszłością. Nie zastałem go w Ludomlu, wysłali go byli wówczas rodzice, aby zwiedził obce kraje, aby przy tej miłej rozrywce wzbogacił umysł, pięknie, jak słyszałem rozwinięty. Smutno mnie było że nie mógł poznać Stanisława. Kochany, chwalony od wszystkich, myślałem że znajdę w nim obrońcę, opiekuna. Nie spotkaliśmy się nigdy na świecie, bo innymi poszliśmy drogami.

„Nie chcę ci opowiadać kochany Doktorze co po powrocie ze szkół wycierpiał w domu mej matki. Codzień strofowany, łajany, za występki które mi nigdy w myśli nie powstały, bity nawet nieraz, potwarzony, umierający nieraz z głodu, zamyślałem o samobójstwie, i gdyby nie ten medalik Najświętszej Panny, pewnobym zbrodnię popełnił. Wykształcenie uczuć i rozwinięcie u- inyśtu stokroć czyniły mój stan okropniejszym. Dzieckiem będąc cierpiałem fizycznie, teraz każdą niesprawiedliwość i obelga truła mnie moralnie. Dręczony umysł i serce szukały środka oswobodzenia się. Po długiej walce postanowiłem pokryjomu opuścić na zawsze dom rodzicielski. Pamiętam jak mi serce pękajozzało, że nie mogłem choć pożegnać matkę i prosić o błogosławieństwo. Wieczorem długo rozmawiałem z Panem Starostą, nigdy nie byłem tak szczęśliwy, nigdy też, nie okazał on tyle życzliwości, przywiązania do mnie, jak w owej ostatniej rozmowie. Jakby przeczuło jego poczciwe serce, że go na zawsze opuszczę. Dawał mi przestrogi, zachęcał do cnoty, do poddania się we wszystkim woli Najwyższego. Z taką słodyczą wlewał balsam pociechy do mego biednego serca, iż rozrzewniony, obłąkany z radości, rzuciłem się do nóg starca, i łzami zrosiwszy jego ręce prosiłem o błogosławieństwo. „Co ci Jest chłopcze? zawołał.

– Dobroć twoja mnie rozrzewnia ojczy, rzekłem: o! jakbym rad abyś mógł przejrzeć do serca, które cię nad życie kocha i uwielbia.

- –Biedne dziecię, mruknął z cicha starosta,

podnosząc innie dodał głośno. Niech ci Bóg błogosławi we wszystkich twych zamiarach mój Synu. Bóg niech będzie z tobą wszędzie i na zawsze.

& Ucałowałem rękę starca i czułem jak on zlekka mą głowę przycisnął do swojego serca.

– Doktorze! to była najszczęśliwsza chwila

mego życia, gdy dziś ona mi na myśl przychodzi, serce mi bije, dusza otacza się rzewnym uczuciem, a przed oczyma widzę sędziwą postać ojca mojego, ojca nie krwią, lecz duchem złączonego ze mną.

– Wrażenia dziecięce tkwią długo kochany Edwardzie, rzekł Eneus: gotów jesteś rozrzewnić się samem ich wspomnieniem. „Na frasunek dobry trunek,” mówią. Nalał Doktor dwa kielichy wina, stuknęli niemi i w milczeniu wychylili do dna. Po niejakiem namyśle Pan Gozdawa tak dalej mówił:

– Też samej nocy ze ściśniętem sercem, ze łzami w oczach i bez grosza w kieszeni opuściłem Ludoml na zawsze. Biegłem noc całą, wciąż mi się wydawało, że za mną gonią, szukają, wołają na mnie. Dwa dni i dwie nocy szedłem bez przerwy, nakoniec znużony podróżą i głodem, upadłem prawie bez życia. Musiał się objawić stan gorączkowy, gdyż pamięć zupełnie straciłem, nie wiedziałem co się ze mną stało. W kilka dni ujrzałem się w jakiejś małej wiosce między Zaslawiem a Ostrogiem. Odzyskawszy przytomność i do sił przyszedłszy, zaprowadzony byłem do dziedzica wioski, tam się

odbyła indagacja: zkąd? po co? na co? dokąd? Zmyśliwszy nazwisko odpowiedziałem iż jestem ubogi szlachcic z poblizkiej gubernii. Szukam służby, że nieszczęściem zostałem napadnięty przez łotrów, którzy zabrawszy mi grosz ostatni, papiery i świadectwa mej służby, zbitego zostawili na drodze.

Pan Grzegorz Rzepkowski, dziedzic małej Wołyńskiej wioski, był wzór szlachcica zaściankowego. Razem z sejmikami życie ich ustało; możniejsi pokazują się jeszcze czasami na jarmarku Berdyczowskim, na Dubieńskich kontraktach, lub we trzy lata na wyborach, ubożsi jak ślimaki w skorupach zasklepili się po swych wioseczkach. Kościół parafialny jest najodleglejszym punktem ich stosunków towarzyskich. Co się dzieje w kraju, w Europie, ani ich obchodzi, ani żadnym kanałem do ich uszu przypląć nie może. Całem zajęciem rola, i gospodarstwo, książką, złoty ołtarzyk i kalendarz, ubiorem żupan, pod którym zwykle pocziwe bije serce. Pomyślałem sobie, tu pozostanę na zawsze, u- kryję się przed ludźmi, tu umrę zapomniany. Prosiłem więc Pana Rzepkowskiego o jakikolwiek obowiązek,, przyrzekłem być pracowitym

i wiernym; upewniwszy że na najmniejszym wynagrodzeniu poprzestanę, że umiem czytać i pisać. Zniewoliło to P. Rzepkowskiego, i umieścił mnie przy swym boku do pomocy gospodarskiej. Ekonomom nie potrzebował, gdyż wszystkie ekonomiczne urzędy centralizował w swojej osobie. Nie wiele potrzebowałem czasu aby zastosować się do nowego sposobu życia. Starłem się za chleb mi dany, być użytecznym; pracowałem, i jeśli nie w szczęściu, to przynajmniej w pokoju dni ubiegały.

Pan Grzegorz od lat kilku został wdowcem; synek dziesięcioletni był na naukach u księdza proboszcza, córka ośmnaście już lat mająca, trudniła się domem i kobiecym gospodarstwem; te osoby składały całą rodzinę Pana Rzepkowskiego.

Panna Róża Rzepkowska była hoża, rumiana, zwinna jak sarna, z żywością uczuć, i nie bez wrodzonego dowcipu. Był to klejnot nie wyszli-fowany, nie wypolerowany, jednak blask często wydobywający się świadczył, iż przy starannem wykształceniu mógłby nabrać wysokiej ceny. Mając dosyć wolnego czasu, nieraz całe długie wieczory zimowe sam na sam z nią spędzając, umyśliłem obeznawać ją powoli z potrzebnymi wiadomościami i kształcić jej umysł. Cieszyły mnie prędkie postępy Panny Róży, z chlubą patrzałem na własne me dzieło, coraz dłuższe i wznioślejsze prowadziłem z nią rozmowy, coraz z większą rokoszą słuchała słów moich; lecz gdy umysł się kształcił, widać że i serce nie spało. Miłego wrażenia doznałem, pierwszy raz przekonawszy się że jestem od kobiety kochany. Niebaczny, nie stłumiłem jej uczucia w pierwszej iskierce, wybuchnęło ono wkrótce całym pożarem gwałtownej miłości. Pan Rzepkowski ani się domyślał o stanie serca córki, chociaż lice bladło, chociaż dostrzegł czasami łzę w oku, choć zauważył że roboty nie tak jak dawniej spornie idą; zadumanie, westchnienia, brał za jakąś nic-dyspozycją, za brak zdrowia. Całą troskliwość swoją objawiał w tych słowach: „Ruziuniu coś ty nie domagasz, napij się rumianku, zdziwiony był tylko że żadne zioła córce nie pomagały. Coraz miłość nasza wzrastała, mówić o małżeństwie ojcu było niepodobieństwem, nigdyby na ten związek nie zezwolił, zamyślałem ją wykraść, uwieźć w nieznane strony; lecz Róża kochała ojca, wołała przenieść największe Cier

pienie jak go osierocić; jak być nawet szczęśliwą bez jego błogosławieństwa. Z dniem każdym, położenie jej stawało się trudniejsza, dalej ukryćby me mogła była swego stanu.

Nie mogła dłużej dźwigać zgryzoty trapiącej jej biedne serce; widok pocziwego ojca, który ufał jej cnotcie, każde przychylnie słowo, każda pieszczota, była zabójczym dla niej ciosem, bo czuła się być niegodną jego przywiązania. Pewnego poranku w rozpacz prawie rzuciła się do nóg ojca i wyznała wszystko. Niespodziewane nieszczęście objawiło się z wściekłością; odepchnął córkę od siebie, i porwawszy za strzelbę wybiegł na moje spotkanie; lecz w oczach mu się zaćmiło, krew uczuciem hańby się wzburzyła, upadł; zabity apoplexią. Dziś nawet, gdy kilkanaście lat przedziela ten okropny wypadek, drzę cały z przerażenia. Pierwsze widzenie się moje z Różą było okropne, wielka rozpacz jest niema, ani myślą objęta, ani słowem określona być nie może. Po pogrzebie ojca mieliśmy się zaraz połączyć na zawsze. Stan jej nie dozwalał zwłoki. Wszystkie przygotowania do ślubu były dopełnione: kupiłem dwa pierścienie, jeden 7, nich widzisz Doktorze, na mćm ręku, drugi włożyłem sam na palec Róży, oba byli z wyry- tem jej i mojom imieniem, dniem i rokiem naszego ślubu; nazajutrz przed Bogiem te ogniwa miały połączyć nasze życia na wieki. Lecz tegoż samego wieczora dwie najteczanek zajechało, wysiadło trzech mężczyzn, których nie- widziałem nigdy w domu Pana Rzepkowskiegoi dowiedziałem się od sług iż to byli stryjowie Panny Róży. Nie chciałem być świadkiem pierwszych-¹ przywitań i odnowienia żalu, który musiał się odżywić w sercu Róży, na widok braci ojcowskich, udałem się więc do swego pomieszkania. Nazajutrz z rana trzech barczystych i wąsatych stryjów weszło do mego pokoju i bez żadnej ogródki zaczęli mię lżyć grubijańskimi słowa- mi, wyrzucać haniebny mój postępek z oświad- czeniem, że nigdy nie pozwolą na związek z po- ¹ dobnym jak ja łotrem i włóczęgą. A chcąc prze- ¹ rwać raz na zawsze występne stosunki, w nocy < odesłali synowicę do pewnej Pani, której szczycą się. protekcyą, rozkazując mi w ten moment opuścić dom w którym za przytułek mi dany ; wypłaciłem się hańbą Nie mogłem się opierać. Róży już niebyło. Opuściłem dom Pana Rzep- hitrygi ~/\$iVI- •• .

H •**•

kowskiego, unosząc z sobą boleść utraty kochanej istoty, i gniew rozjątrzonych stryjów.

– Biedny Edwardzie, rzekł Doktor, nieszczęście wszędzie gonilo za tobą. Gzy los pomyśl- niejszy nie złączył cię później z Różą ?

– Nie mogłem długo dowiedzieć się o jej schronieniu. Niedawno doszły mnie jakieś głuche wieści, może fałszywe, że los dla niej był łaskawszym jak dla mnie, że wyszła za męża za jakiegoś bogatego Pana, że jest szczęśliwą, i ma przy sobie piękną wychowanicę którą kocha nad życie. Lecz kto wie czy te wieści, któreby spokój mi przyniosły, są prawdziwe.

■ –Wierz mi kochany Edwardzie, że są dziwne kaprysy losu, szczęście i nieszczęście nie da się rozumem wytłumaczyć, jednych fatalność, drugich ślepa fortuna wiedzie przez cały gościniec życia. Zajmujące są twe przygody. Opowiedz mi dalszy bieg tych dziwnych wypadków.

– Zacząwszy, muszę dokończyć, kochany Doktorze, choć zwrót każdy w bolesną moją przeszłość, jest jakby nowem przejściem przez czyściec.

–Wy gnany z domu Pana Rzepko wskiego udałem się do Ostroga. Niby szczęśliwym trafem

znalazłem korzystne miejsce u pewnego kupca Moskiewskiego, połowę rocznej nagrody z góry o- trzymałem. Oporządziwszy się dostatecznie, przybrałem tytuł commis wyageur, i wielką bryką naładowaną towarami, wyprawiono mnie do Moskwy. Nowe okolice, nowe twarze, wygodna podróż, otrząśnienie się z niedostatku, pozwalały bujać mym myślom. Zdało mi się, że dostrzegam szczęśliwą przyszłość, roilem, że wkrótce uzbierawszy dostateczną summkę; zwiększywszy ją handlem, będę mógł wynaleźć moją Różę* za którą ciągle tęskniłem, bogaty, zniszczę upór stryjów, dowiodę że umiem pracować, zapewnić byt pomyślny ukochanej małżonce, i coraz dalej zagłębiając się w przyszłość, co raz to pomyślniejsze gwiazdki błyskały w szczęśliwej młodej wyobraźni, coraz przywy- kałem do tych uroczych myśli i w tem łubem złudzeniu byłem szczęśliwy, . 'a Pewnego wieczora, nie daleko już Moskwy, krzyk przeraźliwy obudził mnie z mych marzeń, zatrzymano brykę, zbrojni ludzie nas otoczyli i związawszy mi ręce i nogi grubym powrozem, zacięli konie. Lecieliśmy tak kilka godzin w towarzystwie uzbrojonych ludzi, nareszcie przy

byliśmy do Moskwy. Wjechała bryka w jakiś sklepiony szeroki korytarz, a mnie bez żadnych zapytań, nie słuchając prośb, krzyku, nawet płaczu, wrzucono w ciemne więzienie. Kok eały zakopany w grobie za życia, przesiedziałem wśród głodu, nędzy i ciemności. Samotność skierowała myśli do wejścia w siebie, roztrząsałem każdą czynność moją, robiłem wnioski, wyprowadzałem skutki, słowem tworzyłem w grobie teorię życia. Nie wiem na jaką drogę myśli mojeby mnie były zawiodły, lecz Bóg zesłał przewodnika. Poczciwy, ubogi spowiednik więźniów, wziął mnie w szczególniejszą opiekę. Z troskliwością pasterza niósł pomoc chorej owieczce, pielęgnował, wiódł by w stromą nie uleciała przepaść. Czułem że choć ciało znędzniało, duch mój nabrał mocy, polot był śmielszy, bo poznałem drogę prawdy. Coraz częściej ten święty człowiek mnie nawiedzał, słowa jego stały się potrzebą, pokarmem ducha; kochałem go jak ojca, czciłem jak opiekuńczego anioła. Od niego dowiedziałem się o przyczynie mego uwięzienia; złapany byłem z wielką kontrabandą, kupiec zrzekł się towarów, a całą winę zwałił na mnie. Nie wiem czy staraniem

jnego spowiednika, czy jak mi mówił, na mocy Manifestu Cesarskiego, oswobodzony zostałem. Przeniosłem się zaraz do skromnego pomieszkania księdza Jana. O! mój Doktorze, patrząc na życie tego kapłana, przekonałem się o ważności powołania naszego na ziemi. Zbliżenie się do świętych uświęca człeka, nigdybym go był nie opuścił, lecz wolą jego było abym wyjechał do Warszawy. Oddając mi list zalecający do księdza Baltazara, wyrzekł pamiętne mi słowa: „Jedź mój Edwardzie, niech ci Bóg błogostawi, w pracy znajdziesz złagodzenie cierpień, a w Bogu pociechę. Każdy z nas powinien być użytecznym ludziom, kochać ich a służyć Bogu, bo na ziemi tylko zaskarbić można niebo. Gdy pozbędziemy się ciała, duch, żyć będzie uwielbieniem i miłością Boga; na ziemi nie odrywajmy się od zjemi, pracujmy dla dobra bliźnich, nie-śmy z ochotą krzyże jak sam Bóg nauczył nas go dźwigać swym przykładem. Jedź więc, miłość bliźnich i Boga nie da ci zboczyć z drogi prawdy.” Pobłogostawił mnie, opatrzył z rodzicielską troskliwością, i odprowadził piechotą do bogatki miasta. Ucałowawszy dobroczynną rękę, wyjechałem i we trzy tygodnie stanąłem

w Warszawie. Ksiądz Baltazar przyjął mnie z czułością, zajął się moim losem, i po długich staraniach, oddał mnie w twoją opiekę, kochany Doktorze. Błogosławieństwo świętego człeka wpłynęło na moje życie. Odtąd napotykam nieznaną mi dotąd troskliwość, pieczołowitość rodzicielską. W tobie, kochany Doktorze znalazłem opiekuna, któremu niczem wywdzięczyc się nie mogę, tylko ślepem wykonywaniem wszystkich twoich żądań i myśli. Opatrzność Boga widocznie czuwa nademną.

– Kochany Edwardzie, przerwał Pan Eneus: prostą powinność uczciwego człowieka, biorą ludzie za wysoką cnotę. Cóż dziwnego, że niegodnie opuszczonego przytulił do mego serca.

– A opieka Pana barona Trazc, nie jestże widocznym cudem?

– Baron, Panie Edwardzie, dowiedział się o twym urodzeniu, o haniebnej niesprawiedliwości dopełnionej na tobie przez Pana Ludomskiego, człowiek możny, sprawiedliwy, coż dziwnego, że podał rękę biednemu sierocie. Opowiadanie twoje kochany mój wychowawcze, bardzo mnie zajęło, zgadza się z wieścią którą powziąłem o tobie. Burze twego życia przeszły, teraz będziesz szczęśliwym, byłeś do końca wytrwał w ufności dla mnie i dla Pana barona. Jedną myśl podejrzenia, niedowiarstwa z twojej strony, a najbardziej nieposłuszeństwa, całą szczęśliwą przyszłość, może zmienić w nowe cierpienia. ; – Czyż możesz posadać Doktorze, abym kiedykolwiek w życiu mógł się stać nieposłusznym • wszelkim rozkazom moich opiekunów? i –Kto więc, może wkrótce opuścimy Warszawę. Baron donosi mi, iż ma nadzieję prędko twą sprawę ukończyć, na nieszczęście, sprawiedliwości nawet bez pieniędzy otrzymać nie } można. Znaczny już sumę wyłożył, lecz choćby połowę majątku twego wyszło na proces, jeszcze ci wiele zostanie. Pan baron pisze, że nie chce nawet procentu za wydane zastępnie za ciebie pieniądze. Przesłał najskrupulatniejszy regestr expensów, z pierwszą pocztą należy mu pformalny weksel posłać. Delikatność tego wymaga ; gdyż on gotów nawet nigdy się nie u- pomnieć o swoją należność. * –Najchętniej mój Doktorze, oceniam słu- l szność twojej uwagi. A! co za szlachetne serce Pana barona, co za delikatność w postępowaniu. Mówią, że w interesie człek się zawsze najlepiej

daje poznać. Jutrzejszy ranek poświęcę na dopełnienie formalności skryptu.

– Masz formę weksłu, rzekł Doktor.

Był to rewers na 10,000 rubli srebr. Drugi to już był oblig wydany przez Edwarda Gozdawę, najlepszemu i najszlachetniejszemu z opiekunów.

Drugą po północy zegar uderzył. Wychyliwszy ostatnie dwa kielichy szampana z rado- śnymtoastem, „Szczęśliwej przyszłości!” rozeszli się przyjaciele, oba marząc o swojej pomyślności.

MS 8KP8 WYIIWA ĆWIEKI

m

Nikt tam nie zawołany wniść się nie poważy, Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy.

Maryn. Malczeski

. Od siódmej z rana do pierwszej po południu, Pan Doktor Eneus poświęcał się dla pacjentów. Jedni wchodzili przez wielką bramę, udając się do obszernej sali audieucyonalnej, drudzy znako- mitsi goście, incognito, zatrzymywali się u małej furtki, z której kręte schody wiodły wprost do apartamentów Doktora. Ghcąc się przypatrzeć

- wziętości i sławie Medyka i przekonać się o jego wpływie na towarzystwo; chociaż, chwała Bogu, zdrowi jesteśmy, wejdźmy wraz z chorymi do świątyni naszego Eskulapa.

- Piękny gabinet, przyozdobiony bogatymi meblami w stylu XVI. wieku, obity był materią karmazynową w złote wężyki. W jednym kącie

stała wielka machina elektryczna, stos Wolta, aparat galwanomagnetyczny, wynalazku Pana Eneusa, i kilka butli i flaszek kryształowych, z spirytusami i eterami. W drugim, na piedestale marmurowym, wznosił się szkielet ludzki wypolerowany, obok niego kilka głów trupich różnej wielkości, i kilka potworów ludzkich i zwierzęcych, pływało w słojach hermetycznie zamkniętych. Obok marmurowego komina ozdobionego w rzeźby i mozaiki, w wygodnym fotelu siedział Pan Eneus, obok niego hrabina S. młoda, ujmującej twarzy, prowadzili następującą rozmowę.

–Dzięki ci kochany Doktorze. Mój mąż ma się daleko lepiej.

– O skutkach nie wątpięm Hrabino, lecz jaka przyczyna czyni mnie szczęśliwym, że ją znów u siebie oglądam. Nie chciałbym aby te chwile szczęścia dla mnie wynikały z nowego cierpienia dla. ciebie.

– Mój Doktorze, twe rady wszystkie są zbawienne, lecz odzyskując miłość mego męża, widzę: odnawiające się uczucie dla Panny Emmy, tej zalotnej baletniczki, która pozawczoraj była u ciebie. Czy nie mógłbyś kochany Doktorze przeszkodzić rosnącej namiętności, która mnie na nowe cierpienia wskazuje.

– Nie trwóż się Hrabino, znajdzie się i na to rada, wymaga, wprawdzie, trudów i dość kosztownych środków. Przyczyna grożącego ci nieszczęścia wynikła, iż elektryzując cię dodatnią, a męża ujemną siłą, związałem tym środkiem wasze uczucia, a Pannę Emmę dla innych znowu powodów, naelektryzowałem także elektrycznością dodatnią, ztąd utworzyła się łączność jego płynu ujemnego z waszemi dodatnimi, trzeba więc będzie użyć siły magnetyczno-ele- ktrycznej. Panna Emma będzie miała elektryczność ujemną, jak i twój mąż Hrabino; a wówczas śmiało tego bystrego rumaka, będziesz mogła puszczać na wszystkie balety, będzie ■ tańczył jak mu zagrasz, do tego potrzebuję mieć twoją jaką własność, niekoniecznie włosy... może jaką szpilkę złotą... lub co podobnego, gdyż do użycia siły magnetycznej będzie to potrzebnem. pJak bym odgadła twoją myśl kochany Doktorze, rzekła Hrabina, złożywszy na stole sa. fianowe pudełko, dodała: - – Przyjra to do twych doświadczeń, i na pamiętkę odemnie.

Był to naszyjnik ze szmaragdów osypany pięknymi brylantami.

Pan Eneus ścisnął rączkę Hrabiny z wdzięcznością, i na tabliczce ze słoniowej kości, którą trzymał w ręku, zapisał dla pamięci. Hrabina (+) Hrabia (-) Panna Emma (-).

Zaledwo wyszła Hrabina, wcisnęła się Szambelanowa K., i usadowiwszy się na krześle rzekła:

– Nie zabiorę ci długo czasu Panie Konsyliarzu, wiem że masz wiele zajęć, a tłum pacjentów czeka.

– Jestem zawsze na rozkazy Pani Szambelanowej, kłaniając się odrzekł Eneus.

– Rzecz mała, małej wagi, mój Konsyliarzu, bagatela, nie warto było cię o to trudzić. Ale w nikim nie mam ufności tylko w tobie mój Konsyliarzu, inni Medycy nie rozumieją wiele rzeczy, nie pojmują wymagań pacjentów, ty Konsyliarzu wchodzisz w położenie każdego, przed tobą więc śmiało otworzyć można serce, tyś prawdziwy Konsyliarz i ciała i duszy. Rzecz to niby nie wielka, mój Konsyliarzu, bagatela.

– Raczy szanowna Szambelanowa przystąpić do rzeczy, przerwał Eneus.

r- – Zaraz Panie Konsyliarzu. Czasem mała rzecz w skutkach, jest wielką, niby drobnostka, a zawadza w życiu, f –Cóż Pani Szambelanowa żąda?

– Bagatela dokuczliwa, Panie konsyliarzu.

– A więc?

–.....A więc mój Konsyliarzu chciałabym się pozbyć tej drobnostki, jednej cząstki ciała •mojego.

– Operacji nie zwykłem radzić nikomu w późniejszym wieku.

– To nie o mojej matce, ale o mnie mowa, Panie Konsyliarzu, nie chcę operacji, lecz żądam elixiru na zniszczenie mojej brodaweczki, którą mam na nosie.

Niegodziwa umieściła się jak kropla rosy na kwiatku.

a – Jak mała na niedźwiedziu, mruknął z cicha Eneus.

\t' – Prawda że to wyrostek niepotrzebny, dodał głośno Doktor, zaradzić temu łatwo, balsam z Chin niedawno otrzymałem najskuteczniejszy, ii –Najwdzięczniejsza ci będę mój Konsyliarzu, jeśli się pozbędę tej niepotrzebnej cząstki ciała mojego, lecz nie na tem koniec, jeszcze prośba i < Intrygi 15

nie wielka, bagatela, ale ty wszystko możesz Konsyliarzu.

–Cóż Pani Szambelanowa rozkaże, pacycenci na mnie czekają.

–Bagatela, Panie Konsyliarzu, chciałabym, gdy odpadnie cząstka niepotrzebna, ciała mojego, takąż sama aby wyrosła na nosie Panny Izabelli, mam do tego ważne powody, cóż to jej będzie szkodzić? to zupełnie nie zawadza, bagatela, zrób to mój Konsyliarzu.

I ładunek ze złotem wsunęła w rękę Eneusa, który z uśmiechem zadowolenia wręczył Szambelanowej dwie małe flaszeczki, jedną na zniszczenie brodawki z nosa Pani Szambdanowij, drugą na przeniesienie jej na nos Panny Izabelli.

Przez dwie godziny wchodzili i wychodzili goście różnemi żądaniami. Pan Leon życzył pozbyć się brzucha, Pan Włodzimierz chciał go nabyć, rudy chciał być pięknym blondynem, łysy żądał być jak lew kudłatym; rumiana Elżbieta prosiła o interesującą bladość, wątła i żółta Emilja o żywe rumieńce; wszyscy siwi chcieli być czarni jak kruki, bo każdy nie był zadowolony z tego co posiadał; cóż dopiero jeśli komu brakowało pięty, zęba albo kłęba; Pan Eneus był wówczas podwójnie proszony, błagany, złocony, i musiał te wszystkie ułomności nędznej natury naszej, sztukować, dotaczać, lepić. Ostatnią z pacyentek mających przywilej wchodzić, bocznemi schodami była Panna Emma. Łatwo dostrzedz po rozmowie, iż Pan Doktor otaczał ją szczególniejszą troskliwością, i chociaż na tabliczce ze słoniowej kości, na żądanie P. Hrabinej S., postawił obok jej imienia minus; jednak z matematycznej rachuby, wypadło, zostawić ją przy plusie. Głaszcząc ją tylko w końcu pod brodę» dał przestrożę aby była ostróźniejszą w postępowaniu, aby nie drażniła zazdrości Pani Hrabinej, na co wymógł słowo Emmy stwierdzone pieczęcią baletnicy, pocałunkiem. Iloża i piękna Emma śmiejąc się wybiegła ze szczęśliwym plusem, a Pan Eneus wszedł innemi drzwiami do sali audjencjonalnej.

Długim szeregiem stali ubożsi pacycenci, żółte twarze, postacie zgarbione, dowodziły, iż to prawdziwy był regiment szpitalny, który tryumfalnym marszem mógłby się śmiało udać na Powązki. 'Naprzeciw skupili się zdrowsi i za ukazaniem się Pana Eneusa, postąpili kilka kroków. Doktor ich uprzejmie powitał, prosił > aby po

czekano chwilę , bo zwyczaj wprzódy udzielać rady potrzebniejszym; gdyż ubodzy mieli pierwsze prawo rozrządzać czasem Doktora. Pan Eneus ekzaminował z osobna każdego, spisywał symptomata choroby na tabliczce, pocieszał powrotem zdrowia, nakazał dyetę, ruch, i, każdemu stosunkowo do choroby, zalecił mniej, lub więcej pigułek wślawionych cudami w kraju i za krajem. Później się zwrócił do zdrowszych, do cierpiących po większej części z imaginacyi. Dla tych P. Eneus był najbieglejszym medykiem. Potrafił od razu dostrzedz idee fixe, jak sam nazywał ćwieczka, bez którego chora czy zdrowa głowja, obejść się nie może. Znał P. Eneus z do- świadczenia naturę ludzką. Widział wielkich Ar- tystówfpósiadających sławę Europejską, zauważył że wielu z nich nie szczyciło się z cudownej harmonii;, którą zachwycali słuchaczy, nie myśleli że się wślawili swym talentem , ale jednemu się zdało, że jest pierwszym tancmistrzem, drugiemu, że słynie z dowcipu, innemu że jest najlepszym jeźdzcem w świecie. I tak nieraz zniżała się zarozumiałość, iż byli tacy, co myśleli, że głośne imię w Europie osiągnęli z doskonałego nakładania fajki, nie obrażała ich krytyka prawdziwego lecz mniemanego talentu. Dostrzegł Pan Eneus okiem badacza, iż nieraz dobremu ekonomiiście wydało się, iż jest wielkim muzykiem, doktorowi, że jest genialnym poetą, biblijofilowi zasłużonemu, że najlepiej w świecie smaży konfitury, filozofowi, że jest architektą, głęboki krytyk mniemał, że jest dobrym cukrowarem, poeta malarzem, romansopisarz spekulantem. Nie zastanowiło go powszechne mniemanie głupców* że są uczeni, żaków szkolnych, że są erudyta- mi, lecz że ludzie prawdziwej zasługi i ciężko zapracowanej sławy, zwykle się nie chełpią z talentu swego lub specjalności, a przywiązują się raczej do jakiejś urojonej znajomości, o której rzeczywiście wyobrażenia nie mają. Takie u- przedzenia, które jak grzyby nieraz rosną na pięknych dębach, nazywał P. Eneus ćwieczkami w głowie. Gdy w zdrowej i silnej organizacyi muzgowej bywają takie ćwieczki, w schorzałych dają się widzieć gwoździe. Ze znajomością choroby istotnie P. Eneus umiał ją leczyć, nie brazał miłości własnej, nie raził sprzecznem zdą- niem schorzałej imaginacyi, zwolna, wzbudziwszy wiarę w siebie, dodawszy trochę szarlatane- ryi, działającej skutecznie na wyobraźnia, zręcz-

nie jak dentysta zęby, wrywał z mózgu świeczki, bretnale i gwoździe. Każdy więc chory wychodził od sławnego Medyka zadowolony, a tem samem uij^{ny} w swem cierpieniu. Sessye takowe odbywały się każdodziennie co rana. Stosunki we wszystkich gałęziach towarzystwa wzrastały, pochwały lecąc z ust do ust, uwieńczyły go sławą, a worki leżące niegdyś w suchotach, tyły coraz bardziej wypełniane srebrem i złotem.

Po odbytej umiejętnie roli Medyka P. Eneus zwykł odpoczywać w swym gabinecie. W chwilach samotności układał plany, snuł przędzę nowych intryg, wiązał wypadki, czynił wnioski, które dążyły zawsze do spanoszenia się z łatwowernej publiczności. W tej chwili zajmowało go najbardziej opowiadanie Pana Gozdawy: z rysu życia poznawał człeka, a po długim namyśle rzekł sam do siebie.

Dobra to jakaś owca. Wypadki mogły go przemienić w wilka, lub w przebiegłego lisa, nie- miał skorzystać z mądrej księgi żywota, do śmierci pozostanie owcą, jak porośnie w wełnę, no

życe nasze łatwo go ostrzydz potrafią. O! głupi ludzie. Baron Trazc miał słuszość mówiąc, że z niego będziemy mieć praktykę niepospolitą. Proces się kończy z Panem Ludomskim, mamy już znaczną sumę na kochanym pupillu. Nieodmawiam sprytu i przebiegłości Panu baronowi, limie przewidywać wypadki, cóż dziwnego, że mądry będzie miał przewagę nad głupcami, \ tak było od początku świata. Świat jest ciuciubabką, z tą tylko naturalną różnicą, że tu łapią tych, co przesądami mają zawiązane oczy.

Po długim namyśle dodał.

– Rozumny przebiegły Pan baron, lecz i z kochanym przyjacielem trzeba się mieć na o- stróżności. Nie wie, że moje oczy zawsze są przy nim. Traf szczęśliwy, dał mi tego nieoszacowa- nego Benedykta, z mądrymi trzeba być bardzo ostrożnie, a przytem gdyby baron chciał brykać, mam cugle, które go zaraz, na miejscu osadzą. Tchórz, boi się mnie jak ognia.

Gdy tak marzył P. Eneus, wszedł służący i wręczył mu list z poczty, po czem na skinienie Doktora zaraz się oddalił. Spojrzawszy na

podpis, uśmiech przebiegł na ustach P. Eneusa, rozpieczętował z żywością i z uwagą zaczął czytać dwu-arkuszowy list, wielkimi niekształtnymi literami pisany. Zadowolenie z razu objawione zaczęło się przemieniać w niespokojność, a ta z biegiem pisma przeistoczyła się w nieukontentowanie, później w trwogę, w końcu wybuchł gniewem, rzucił list, wstał z krzesła i piorunującym głosem zawołał.

– Do kroć stu tysięcy diabłów! Albo baron albo Benedykt zwaryjował – to rzecz niepodobna.... Baron zakochany i w kim jeszcze? w kobiecie z niebezpieczną reputacją świętości, chwila szału, zapomnienia, w przepaść nas wtrącić może. Opisane symptomy w liście Benedykta upewniają mnie, że coś nadzwyczajnego musiało zajść w uczuciach barona* Przysiągł że od kobiet stronić będzie, cóż dopiśro kochać stworzenia, które na to są jedynie, aby ludzi przeistaczać w głupców. Ten szalony przeklęty może rozdwieć nasze cele, gotów będzie poświęcić mnie, dla jakichś wariackich uczuć, lecz będę czujnym mój baronie, wyrwiesz się tylko z moich szponów wówczas, gdy zechcę cię wypuścić.

Proces jest na skończeniu, a jednak nie powołuje mnie do siebie. Pocóż mam tu bawić? Sława medyka długo trwać nie może. Coraz położenie moje staje się trudniejszym, jest to nieuwaga barona, która usprawiedliwia podejrzenia, że słowa Benedykta mogą być prawdziwe. Przytomność moja przy nim jest konieczną. Tak tak, trzeba jechać, i jemu muszę świeka wyrwać z głowy.

Uderzył młotkiem w dzwon Chiński, wszedł służący, rozkazał mu przywołać do siebie P. Edwarda Gozdawę.

^ Twarz Pana Eneusa się zmieniła, dzikość hyeny przebijała się we wzroku, chodził krążąc na jednym miejscu, jak lew w klatce zamknięty i nieraz przekleństwa grzmiały w jego piersiach i z Pana Doktora, Eneus przerabiał się na znanego nam Eneasza, którego Benedykt kościotrupem nazywał.

I. Krótka była rozmowa z przybyłym Panem Edwardem, oznajmił mu tylko, iż za tydzień najdalej wyjeżdżają z Warszawy, że wkrótce ujrzy rodzinne strony. P. Gozdawa wyszedł u-

178 '

szczęśliwiony z zamiaru tak zgodnego z jego życzeniami, a Eneus zamknięty w swym gabinecie , dzień i noc całą marzył i dumał, może o jakichś nowych, tajemnych planach.

179

1 -lii.-. i)Ati

. 'r*>-

G 1 i 1 Ti

A z tysiąca blizn czarnych co jej w sercu ciąży, Gniazdo syczących, na świat, wylęga się węży; Gdy złość w swoim szaleństwie zrobiła zabawę, Wydrzeć życie w; ale pierwszej sławę.

Murya. Malcze ski*

* Chcąc się przekonać o znikomości naszej, o niestałości losu, dość się wydalić na lat kilka z miejsc dobrze nam znanych, za powrotem co krok zdziwienie, boleść, a rzadko niespodziewana radość nas powita. Jedni wymarli, na ich miejscu obcy ludzie zamieszkali, drudzy z bogactwa, przeszli do ubóstwa. Ci ze szczytu wziętości, upadli w niesławę, owi co się mieli za ro* zumnych, pokazali się głupcami, głupcy wyszli na ludzi, panowie na sług, a sługi na panów. Starce poszli na wieczne mieszkanie do grobów, dzieci jedwo poczynające mówić, dysputują o filozofii. Żyd handlujący kurami, robi obroty na krocie, ten z Adwokata, wyszedł na Prezesa, tamten

z Demagoga, został Arystokratą. Arystokrata straciwszy majątek, zmienił się w Republikanina. Dość że niepojęta zmiana ludzkiego losu, zupełnie zmienia znajomych, krewnych, przyjaciół. Nawet natura w inne się szaty przestrasza, a cała ta metamorfoza nieraz w kilka lat naszej nieobecności się dopełniła.

Wróćmy raptem, jakby koleją żelazną, z długim i licznym trenem naszych zacnych czytelników) w okolice Ludomla. Konduktorowi ani w głowie jeśli podróżni drzemią, albo ziewają w karetach; ze mną ma się inaczej: smućcie się, weselcie się, gniewajcie się, niecierpliwcie się; a nie ziewajcie, bo dla piszących wiek nasz oświścony, dodał jedenaste przy kazanie. „AYe nudź bliźniego twojego.” Nie chciałbym tym strasznym grzechem obarczać me sumienie autorskie. Spieszę stanąć u ftelu, aby nie utrudzić was najmilsi czytelnicy.- 10 to zajeżdżamy przed świetny tak niegdyś pałao Łodowski. Pustki nas wszędzie witeją w tfrzwi opieczętowane urzędowemi pie- cz^ciamr/’czu exdywizyę, proch na posadzkach po g^mśathr, wiją się pająki, w dwóch ciasnych" |iokojafchi’ mieszka smutny gospodarz domu, z troską czołe, z kamieniem na sercu, jedno go tylko duchy i widziadła nie odstępily więcej z niemi niżli z ludźmi żyje. Przyjaciele odstępili, i dla uniewinnienia się przed światem z oziębłości; puścili pogłoskę iż Pan Stanisław Łodowski zwaryował, że się rzuca na ludzi. W drugim końcu pałacu, w znanym saloniku Pani Julii, mieszkał Pan Dziawkiewicz, specjal- riy plenipotent Pana Edwarda Gozdawy, dziś u- znanego za prawego syna Pana Starosty Ludomskiego, zatcm spadkobiercy połowy majątku; proces był skończony, metrykami, dokumentami wykradzionemi z Archiwum przez barona wsparty, czynił dzisiejszego Pana Edwarda Ludomskiego, niegdyś przezwanego Gozdawą, dziedzicem Ludomla, a rachunki i kalkulacye przez tyle lat dzierżonego majątku odjęły Panu Stanisławowi Ludomskiemu, jego własny wydział. Cała więc majątność Pana Stanisława, przeszła w prawe posiadanie. Pana Edwarda. Pan Dziawkiewicz wszystkim rządził, oczekiwał przybycia swego Pana z Warszawy. Po długich prośbach ledwo Pan Stanisław parę. nędznych pokojów wyprosił dla siebie, gdzie jak pustelnik w nędzy, nieraz o głodzie i chłodzie przemieszkował. . Prędko i bez trudności Dziaw- W'lut rygi t>

kiewiczowi udało się ukończyć sprawę, gdyż jak Pan Stanisław przekonał się o prawnym uznaniu Edwarda za syna Pana Sfarosty, ani zamyślił bronić się w procesie. Owszem, ceniąc pamięć swej matki, bojąc się rzucić pozór nieprawego pochodzenia brata, sam dawał urzędowe świadectwo właściwego przychodzenia do majątku, który przez uznanie P. Edwarda za zmarłego do tychczasowie był w jego posiadaniu. Co tem bardziej dało powód całemu sąsiedztwu, i wszystkim przyjaciółom, okrzyknąć stanowczo Pana Stanisława za waryata.

Gdzież piękna i pobożna Julja? gospodyni domu, nie dwa tygodnie oczekiwała powrotu męża, jak w swym liście przyobiecał. Mijały miesiące w niepokoju i we łzach, różne domysły trapiły jej biedne serce; a Stanisław nie wracał. Nareszcie przyniesiono jej list od męża, był w następujących słowach.

„Nadto ci wierzyłem i kochałem Juljo aby jedno podejrzenie, jedno posądzenie występku, rozerwało święty węzeł naszych uczuć. W czasie fatalnego wieczoru, którego bodajbym był nie dożył, widziałem was razem, choć słów nie słyszałem, wasze twarze, oczy, wymowniej jak słowa wykryły stan waszego serca, i wołały do mnie że jestem zdradzony. Żem wówczas ciebie i Bohdana nie zabił, winnaś to memu zacnemu przyjacielowi baronowi Trzasc. Bóg mi udzielił chwilę opamiętania. Miłość którą potrafiłaś rozniecić w mem sercu, zaprzeczała moim własnym oczom, zadała kłamstwo prawie dotykanej prawdzie. Biedny, oszukiwałem sam siebie. Pomyślałem; trzeba wprzód lepiej się przekonać. Wyjechałem z domu kilka słów zaspokoja) ący eh napisawszy do ciebie, odtąd śledziłem krok twój każdy, badałem ludzi obcych i przyjaciół; lecz tylko litość nademną wyczy- tywałem w ich twarzach, nareszcie wypadkiem przekonałem się iż jesteś występna, list twój powierzony Benedyktowi, do Bohdana, wpadł w moje ręce. Rozdarłaś me serce ale ze zdrojem łez wylanych, wypłynęła i miłość dla ciebie. Nie lękaj się o Bohdana, dla miłości Boga darowałem obrazę, on mniej jest winnym od ciebie, tobie Juljo coś mnie podstępnie tyle lat zdradzała, tobie, przebaczyć nie mogę. Nie wrócę już nigdy do ciebie. Bóg kiedyś będzie naszym sędzią.”

Co się działo w biednym sercu Julii po ode

braniu tego okropnego listu, łatwo każdy domyślić się może. Człek którego najszczerzej kochała, dla którego była wierną, dla którego łzami boleści i pokuty ścierała odblask uczucia, który się wyrzył w młodzieńczych latach na jej sercu, dla którego silną wolą chciała przytłumić czyste uczucie dla Bohdana, wyrzec się go, zapomnieć, gdyby to być mogło, i ten człowiek śmiał na nią rzucić nie tylko błotem, ale i kamieniem. Napróżno Julja dwa razy pisała do Stanisława, żadnej odpowiedzi otrzymać nie mogła. Baron Trazc, zawsze pełen wrzącej namiętności ofiarował jej swą pomoc; lecz odtrącony ze wzdargą, odchodził z coraz wścieklejszą zemstą. W modlitwie i Bogu jedyna pozostała dla niej pociecha. Przeniosła się na mieszkanie do klasztoru Panien Miłosierdzia; i tam doglądając chorych, lejąc pociechę strapionym, dźwigając krzyż boleści, który coraz stawał się jej lżejszym, bo z pokorą i miłością nieść go u- miała, uczyniła postanowienie nigdy nie wyjść z murów klasztornych.

Pan baron Trazc coraz większy wywierał wpływ nie tylko nad umysłem Stanisława, ale w całej okolicy zaczęto polegać na jego zdaniu. Wszędzie był potrzebny, wszędzie jego rada była stanowczą. Miotany zemstą zrećnie oczernienia Julii przez obce usta rzucał w serce Stanisława, sam nieraz niby stawał w jej obronie, ale zwyciężony słusznym oburzeniem Stanisława, wyznawał że lituje się nad Julją, ale rozumie gniew zdradzonego męża, z drugiej strony potajemnie dążył na zniszczenie majątku Stanisława. Pan Dziawkiewicz sownie zapłacony we wszystkim ulegał baronowi. Wynalezione dowody w Archiwum Ludomskich o prawem urodzeniu Pana Edwarda, posłużyły do skończenia rychłego procesu, a skrypta przesyłane z Warszawy niby na kosztą prawne, zwiększały coraz nadzieje zagarnienia w przyszłości znaczną część majątku Pana Edwarda Ludomskiego. Czy nagradzając mu tę stratę, czy pewnie dla nowych korzyści, usnuł Pan baron plan wydania wychowawcy Pani Hrabinej Orskiej za Pana Edwarda. Panna Vautourpo śmierci Hrabinej, stała się z Guwernantki opiekunką, przyjaciółką jedyną doradczynią Panny Elizy, na którą cały swój majątek testamentem Hrabina przelała. Powierzchność jej była ujmująca, rysy twarzy delikatne, blada, błękitne oczy wyrażały dobroć

It»*

i tęsknotę, prześliczne jasne włosy w grubych zwojach spływające podnosiły wyraz łagodności, tworząc ideał istoty, pięknej i słabej, uległej i kochającej. Łatwo przebiegła Panna Vautour trudniąc się jej wychowaniem zdołała wzbudzić dla siebie przy srogiem nawet obchodzeniu się, przychylną pomieszaną z bojaźnią, potrafiła przekonać Elizę o wielkości swego poświęcenia się dla niej, wdzięczności jakiej wymagać jest w prawie. Kłamstwem i intrygami pragnęła wzbudzić przekonanie, że biedną sierotę wszyscy nienawidzą, zazdroszczą, iż radziły ją poniżyć; a ona tylko jedna pełna prawości i poświęcenia się, broni ją przed światem, i za to jest od przyjaciół i krewnych niegdyś Pani Orskiej prześladowaną, oczernioną. Dla szczęścia Elizy postanowiła wszystko to mężnie znosić. Biedna Eliza na te wszystkie potwarze bliskich jej sercu odpowiadała łzami. Nienawiść do ludzi, która służyła za tarczę dla P. Vautour od mogących mieć wpływ na umysł Elizy, nie mogła stłumić rad i przestróg przedśmiertnych Pani Orskiej, które się wyryły na zawsze w niewinnej duszy, i brzmiały wciąż dwoma anielskimi słowami: Miłość, Przebaczenie. Panna Vautour

nie była świadkiem ostatniej rozmowy konającej Hrabiny z Elizą. próżno badała, używała podstępów, nigdy dowiedzieć się nie mogła, czuła tylko jej przebiegłość¹, iż jakaś wówczas tajemnica przelała się w serce Elizy. Przypomnijmy sobie, że za pośrednictwem barona Panna Vautour otrzymała miejsce w domu Hrabiny Orskiej. Widzieliśmy ją chwilę w Warszawie służącą do oszustwa Eheaszai Łatwóm. Więc była narzędziem ich intryg i zamiarów. Małżeństwo między Elizą, a Edwardem było ułożone. Przygotowano młodą wyobraźnię¹ o zaletach młodzieńca, o piękności, rozumie i dobroci. Powolnym wpływem tak umiano zręcznie oswajać ją z tą myślą, barwić tak cudownymi kolorami, iż nie znając Edwarda; był on ideałem jej wyobraźni.

Zazdrość barona wzbudziła i zemstę i nienawiść ku Bohdanowi. Pan Trzecz zbliżył się do Pana Sędziego Słutyńskiego. Trochę pochlebstwa, ciągłe potakiwania dziwactwom sędziego, powtarzanie jego przysłowiów i grubijańskich frazesów, znajdując w nich mądrość. wyższą nad wszystkich filozofów, chwając spryt i zdolności

Maciusia, a przy ganiając Bohdana, potrafił zjednać sobie w-krótkim czasie zaufanie i przyjaźń Pana Słutyńskiego. Pewnego dnia, na gwałtowny interes zapotrzebował od niego pożyczki pięciu tysięcy rs. na parę tygodni. Pan Sędzia chociaż nie miał zwyczaju pożyczać, tylko jednym żydom, i to najmniej na dwudziesty czwarty procent, w nadziei pomocy barona w nabyciu jednej wioski P. Stanisława Ludomskiego, która wchodziła klinem w jego dobra, bez wielkiej trudności uczynił tę przyjacielską usługę. Po upływie dwu-tygodniowego terminu, otrzymał Pan Sędzia od barona najgrzeczniejszy bilecik, przepraszający, iż dla braku gotowizny posyła mu formalny rewers syna jego Bohdana, na taką sumę wydany, i że mając trudność w odebraniu, odsyła go na umorzenie własnego długu. Dwadzieścia razy Pan Sędzia pisał do barona, odsyłał dokument Bohdana, groził procesem, łajał, przeklinał; lecz ani razu nie odebrał żadnej odpowiedzi. Całą więc wściekłość, i zemstę wywarł na Bohdana, zaniósł manifest przed aktami wydziedziczający go z majątku, i sromotnie na zawsze wypędził, z domu. Maciuś będąc już kolegialnym Assesorem uważał tę czynność Ojca za nader sprawiedliwą i przechwalał się wyrobić u Gubernatora, iż go na kilka lat przynajmniej wyszłą za karę na mieszkanie do Permy. Położenie Bohdana było nader bolesne, nie trwożył się ubóstwa. Zdawało mu się, że pracą każdy człowiek byt sobie zabezpieczyć może, szukał miejsca odpowiedniego swym zamiłowaniom i zdolnościom. Chciał być bibliotekarzem u jakiego pana, porządkować księgo-zbiory, dopełniać brak dzieł lecz się okazało, że to miejsce niegdyś ważne u naszych panów zajmuje stróż pałacowy, otrzepując książki z pyłu i paląc w piecach biblioteki, pomyślał sobie zbiorę wszystkie lepsze moje rękopisma i przedam księgarzowi, puszcę się drogą autorstwa, własną pracą zaradzę potrzebom życia. Księgarz przerzucił rękopism i z kwaśną twarzą zarzucił, iż imię autora nie znane w literaturze nie zapewnia odbytu dzieła, lecz że zwykł nie zrażać poczynających pisarzy, kochając namiętnie piśmiennictwo narodowe, li tylko dla zachęcenia ofiarował za rękopism, czterdzieści tomów tłumaczeń romansów francuzkich. Z ściśnionem sercem i oburzeniem odszedł Bohdan od Księgarza. Znajomość gruntowna języka, literatury

i historii, czyniła mu nadzieję, iż będzie się mógł umieścić w jakim możliwym domu, spełniając obowiązek nauczyciela; lecz zarzucono mu że niema akcentu paryskiego, a żądano, aby wszystkie nauki w języku francuzkim były wykładane. Starając się nieraz o takowe miejsce wespół z lokajem francuzem, zawsze rywał o- trzymał pierwszeństwo. Tytuł literata od dawna opinią publiczną nadany Bohdanowi, zagroził mu drogę do wszystkich obowiązków administracyjnych. Obywatel, rolnik, zawsze bierze za synonimy dwa wyrazy literała i do niczego. Rządca we fraku, a broń Boże w okularach, a co jeszcze gorzej kochający nauki, jest dla obywatela rolnika jakimś potworem, każdy od niego ucieka; jakby samem żądaniem obowiązku, osłabił już kredyt dziedzica, jakby się zbliżał na pożarcie jego majątku. Cóż dziwnego, że przy takim uprzedzeniu, w gałęzi rolniczej i administracyjnej, nie mógł Bohdan znaleźć dla siebie miejsca. Opuszczony od wszystkich, przy szczerej chęci pracy, żył w zupełnej nędzy. Chociaż jeszcze nie wpadł w nienawiść ku ludziom, ale doświadczeniem bolesnem, rozczarowanym był z młodocianego marzenia, które nie ma zmysłu dla dojrze

nia złego; w każdej istocie, w ludzkości całej, widzi piękność, i nią żyje, i nią kocha dla samej piękności. Bohdan przestawał zwolna miłować ludzi uczuciem poety i zaczął ich ogarniać chrześcijańską miłością, która jest najsilniejszą i najtrwalszą, bo za godło jej służy: Przebaczenie! Najdotkliwsza boleść, trapiąca jego serce, było nieszczęście Julii. Przypisywał sobie, iż jest sprawcą jej cierpień. On ją wtrącił w ohydłą przepaść potwarzy. On któryby ostatnią kroplę krwi wylał dla jej szczęścia, któryby z ochotą zniósł wszelkie męczarnie dla jej pokoju, któryby przeszedł przez czyściec dla jej zbawienia. Marzył o zemście nad baronem, pojedynek, zabójstwo, go nie zadowoliło; przeczuł zbrodniczą jego duszę i chciał w obec całego świata zerwać maskę uczciwości pod którą podłość się kryła.

Parę lat upłynęło, a taka okropna zmiana zaszła w osobach naszej powieści. Bóg wszystkich nawiedził boleścią, grom nieszczęścia uderzył w serca cnotliwe, zbrodnia tylko uwieńczona

J

pomyślnością, szydersko urąga cnotcie. Bóg dla próby nieraz zsyła krzyże wybranym, a potępia na wieki zbrodniarza. Zostawiliśmy P. Sta

niślawie Ludomskiego w ciasnych dwóch pokojach pałacu. Zerwawszy stosunki z ludźmi, coraz częściej przenosił się w świat cudów. Duch jego na skrzydłach wyobraźni leciał w kraj przywidzeń, objawień. Z bladą twarzą, z zamkniętymi powiekami, siedząc wpół śpiący na krześle, widzi przed sobą dwie nadludzkie postacie, z tą samą powierzchownością pod którą zwykle mu się objawiały. Jedna z szyderskim uśmiechem barona, druga z anielskimi oczami Franceski, które przed okiem i słuchem jego ducha wiodły następującą rozmowę.

SZATAN.

Patrz jak ziarna które rzucił, dojrzewają w twoim synu, krwią i łzami podsycone, zrodzą bujny owoc czynu.

ANIÓŁ.

Na znikomej miękkiej glinie, twoje szpony ślad wciskają, ale jednym tchnieniem ducha, jak przed wiatrem chmura ginie, jak przed słońcem ciemność nocy, twoich pokus nikną mocy. Nie pojmujesz ty Szatanie, że tak dzielna twoja siła, ludzkość całą wybawiła. Zmija pokus, zwyciężona walką Nieba, rodzi męża, bo kto zwalczy pokus^węża, temu wieczna lśni korona.

SZATAN.

Sidla pokus i cierpienie, w którym wplątał go zdradziecko, wywołują potępienie,; już małżeńskie węzły zrywam; kląć już ludzkość ma ochotę, już splugawił świętość, cnotę. Pieśń zwycięż- twa ci zaśpiewam.

ANIÓŁ.

Nie zwyciężył jeszcze czarcie, już twych pokus nie usłucha, ziemskich myśli z duchem starcie, już zwycięztwo wróży ducha. Ty się wcielasz w ludzką postać, w zaprzedaną tobie duszę, musisz sobą samym zostać, podstęp przed nim odkryć muszę.

SZATAN (z ironią).

Mój Aniele tyś. złośliwy, zkaż ci zawiść taka do mnie. Żeby człowiek był szczęśliwy, chcesz koniecznie wymódl po mnie. Nie spieraj się, proszę ciebie. Już przed tobą się ukorzył. To twóć

Intrygi

17

Pan Bóg co, tam, w Niebie winien że źle człowieka stworzył.
ANIOŁ.

Bluźni czarcie złość twa wściekła. Anioł blu- zniestw twych nie słucha. Idź przeklęty na dno piekła, w Imię Ojca, Syna, Ducha!

Anioł wzleciawszy skrzydłem trącił z lekka powiek Stanisława i za rozwarciem onych ujrzał przed sobą barona Trazc, lecz tak mu się zmąciło w głowie, iż wymówił jego imię z przerażeniem na odwrót złożone, które utworzyło słowo Czart. Oczy mu w słup stanęły, pobladło lice, drżał cały, a usta konwulsyjnym ruchem powtarzały, jeden tylko wyraz. Czart! Czart / Baron który rzeczywiście stał przed nim, strwożony szepnął do siebie z cicha, „niema wątpliwości zwarzował.”

Stanisław drżącą ręką porwał za papier i pióro, napisał nazwisko baronie Trazc i zbliżywszy się do niego rzekł.

– Czytaj na odwrót twoje właściwe nazwisko.

Baron głośno przeczytał Czart; i ten dziwny zbieg liter, pierwszy raz dojrzany, złowieszczym wrażeniem przeleciał mu po wszystkich żyłach.

⁵ –Anioł mój odkrył tajemnicę, zawołał Stanisław, i padając w pół zemdlony, krzychał przeraźliwie :

fii–Czart 1 czart! czart 1

A baron złowieszczym słowem, jak zwićrz pociskiem raniony, uciekał do swego mieszkania. •

MMCulUnu 1 flflu fKJ

DOŁY, &ME* STO SAS® W MIS WffASA.

– On Die chciał na widoku zostać, W nękających cieniach zamku, zanurzył swą postać,

Jak te straszące mary, które bojaźń nasza Widzi w bezsennej nocy , poranek rosprasa.

Mary a. Malcze ski

Z niemiłym wrażeniem powrócił P. baron Trazc do już znanej nam swojej rezydencji. Wizyta Stanisława tkwiła mu w myśli, mimo na pozór mało znaczącego wypadku; P. baron przywiązał do niego dość wielką wagę. Miłość własna cierpiała , iż tak dziwny zbieg liter, wywołać mógł jeśli nie jakieś zabobonne o nim uprzedzenie, to przynajmniej łatwo śmiesznością go okryć może, co dla człeka dążącego do wielkich wpływów; jest arcyniekorzystnym.

Przytem zauważył, iż wyobraźnia Stanisława tak silnie była tem widzeniem uderzona, że albo osłabić, albo zniszczyć jego przewagę moralną nad nim musi, a stąd wywiązać się mogą nieprzewidziane wypadki, które wstrząsnąć i rozwalić będą zdolne budowę, intrygami i potwarszą wzniesioną. W charakterze barona poznaliśmy przebiegłość jego, pryncypium, że wszelkie środki są godziwe do osiągnięcia celu, chęć wzbogacenia się oszustwem, prócz tego odznaczała go cecha wszystkich łotrów, że mimo odwagi do zbrodni, był tchórzem. Widzieliśmy, iż wspólnik jego intryg, Pan Eneas, nieraz mu tę wadę wyrzucał. Niedziw więc iż wypadek, który go spotkał u Pana Stanisława, a ztąd wypływające wnioski, przejęły go trwogą, pocieszał się myślą, iż dokonawszy swoich zamiarów, będzie mógł opuścić na zawsze te miejsca. Namętne jego serce dokonało już w części zemsty ,nad Juliją. Zwierzęce jego uczucia, jeśli nie w zmysłowych uciechach, to przynajmniej w cierpieniach Julii rokosz znajdowały. Chciałby ją był jeszcze widzieć, albo upokorzoną, czołgającą się u nóg jego , albo oddającą się sromotnie. w,jego odęcia. Tracąc nadzieję dopięcia obu

17*

celów, wściekłość go pożerała. Zdało ma się, że Bohdan był zawadą między nim a Julią, mściwym podstępem wygnał go z rodzicielskiego domu i przywiódł do ubóstwa. Ruiną Stanisława urósł w dostatki, opieka nad Gozdawą przyniosła znaczne summy, które za jego przybyciem miały być wypłacone[^] małżeństwo z Elizą ułatwiało mu uiszczenie obligów przesyłanych z Warszawy, a przytćm kojarząc go z elewką Panny Vautour, dał jej sposobność uzbierania znacznego kapitaliku. Był to zapewne dług jakiś w młodości zaciągnięty,, a dziś z kieszeni Panny Elizy zapłacony. Jak widzimy wszystko szło po myśli barona, wziętość jego rosła, kapitały się mnożyły , mimo to jednak marzył o wyjeździe, czekał tylko na przybycie Gozdawy i Eneasza. Dręczyła go niepewność usposobienia Stanisława, nie wiedział czy ten sen lub widzenie nie zniweczyło zupełnie jego wpływu nad nim, bał się aby jedno ogniwo zerwane w łańcuchu intryg, nie rozprzęgło go na zawsze. Z ostrożnością zapuszczał się myślą w przeszłość, aby nie wpaść samemu w wykopaną dla drugich przepaść. Chodził niespokojnym krokiem , dumał to o dokonaniu ostatniego ciosu zemsty, to o

zao
krągleniu uzbieranej summy , o przesłaniu kapitałów na zagraniczne banki, gdy w tem wleciał zadyszany Benedykt i przeraźliwie zawołał.

– Niech będzie pochwalony... pfu! Coś dziwnego , coś takiego co powiedzieć nie umiem. fv–Cóż to! krzyknął baron, co się stało, czy się pali ?

--[^]-Tak, tak, wali się panie.

Co się wali, czy ten zamek stary?

– Tak, jeden młody, drugi stary.

– Czyś zwarzował, co ci w głowie ?

– Zgadł Pan Baron, jacyś panowie.

– Gdzie ? Kto ? głuchmanie.

■ h – Ja nie kłamię,y/walił powóz paradny na dziedziniec , już są w sieniach, ot nadchodzą.

Rozwarły się podwoje wszedł Eneasza i Edward [^]Gozdawa. Baron nie spodziewając się ich jeszcze, trochę był zmieszany, lecz po przyjacielsku u- Ścisnął rękę Eneasza. Pan Edward przedstawiając się baronowi, złożył mu najczulsze podziękowanie za niezastężoną opiekę nad sobą, zza- jpałem pobudzonej wdzięczności chciał przekonać w słowach ile jego serce uwielbia , ocenia postępowanie ojcowskie barona, nad opuszczonćm sierotą. Baron ze skromnością udaną, z bezin-

teressownością wynurzył w pięknych wyrazach, iż jedyną jest jego pociechą być pomocą uci- śnienym , całą jego nagrodą osiągnięcie szczęścia dla nieszczęśliwych. Edward z rozrzewnieniem rzucił mu się na szyję, serce mu biło, a wyrazy wdzięczności jakby echo jego uczucia* ciągle mu brzmiały na ustach. Baron zwrócił rozmowę na inny przedmiot , zapytania i odpowiedzi szły żywo, rozum barona błyszczał tysiącem iskier dowcipu. Pan Edward upojony powabem rozmowy, błogosławił w duszy Boga, że mu nagroził tyle boleści nadzieją szczęśliwszego życia. W końcu dodał P. Trzc :

—Dokonałem com sobie zamierzył. Jutro mój przyjaciel, a twój towarzysz podróży , złoży ci Edwardzie rachunki, które dadzą ci poznać stan twego majątku, nie bez trudów i kosztów wydartego od twych ciemiężycieli. Gdy prawy właściciel wróciły zarząd mój ustaje, jeżeli zezwolisz, mogę czasami weśpruć, cię radą , bo do- świadczenie moje, znajomość ludzi, może cię Edwardzie ochronić .od nowych podstępów, i sidła które niewątpliwie zastawiane na ciebie będą. Teraz jesteś podróżą znużony, idź odpocząć do przygotowanych dla ciebie pokojów, a ja z moim przyjacielem pozostanę. ■ ■ Edward po tysiąc razy zapewniwszy o swej wdzięczności, we wszystkim przyrzekłszy ślepo powodować się swym dobroczyńcom, pod przewodnictwem Benedykta udał się na spoczynek.

Dwaj przyjaciele, gdy zostali sami, zmierzli się oczyma, jeden i drugi przed zaczęciem rozmowy chciał zbadać myśli; bo nieufność u tego rodzaju przyjaciół, zawsze jest pierwszem u- czuciem. Pan Baron przerwał milczenie.

— Pan Edward * jakieś dobre ciele, przysłana mi bijografia jego życia, odpowiada'zupełnie jego charakterowi, który w każdym słowie się odbija. Łatwo pokończymy z nim rachunki. k — Spełniłem co chciałeś baronie, wyszukałem go i przedstawiam, wzbudziwszy w nim zaufanie i uwielbienie dla ciebie. Jaką też sumę mamy na tym głupcu?

sf; .— Dwadzieścia pięć tysięcy rs. odrzekł baron. L ■ — Zkąd zapłaci? Majątek trochę podmi nowany, kredytu mieć zaraz nie może.

Ożenimy go z wychowanką Hrabiny Orskiej , a ta ma gotowe pieniądze. • Czy zrobiłeś stosowne kroki?

- Panna Yautour już przysposobiła serce Elizy, jutro go tam zawiozę.
- Niezawodnie pięknie to wszystko ukartó- wałeś panie baronie, lecz zanadto długo intryga się ciągnie. Nie otrzymawszy wezwania, znudzony, sam przyjechałem; trzeba działać prędko, stanowczo, a ty baronie jakbyś romans tworzył, płaczesz, gmatwasz, a nie wiesz, że czasem w romansie na ostatniej karcie, intrygi w łeb biorą, zmieniają się wypadki i nadspodziewanie rozwiązują dramat.
- Djabeł wie co prawisz Eneasz! Cóż to podobnego do romansu? polowanie na głupców i nic więcej.
- Polowanie bez kuli i sztyletu, zamiast broni strzała, zamiast celu serce.

I dziko się rozśmiał Eneasz.

- Cóż to jest, co za posądzenie ? zapytał strwożony baron.
- Piękna rączka odepchnęła, a więc zemsta, nadobne usteczka się uśmiechną, i nastąpi przebaczenie. Zbijasz się z wytkniętej drogi, mniejsza o ciebie, ale mnie zgubić możesz, wiem o wszystkim.

Baron zbladł, milczał, a Eneasz dalej mówił*

i – Poprzysięgliśmy sobie unikać wszystkich u- czuć a najbardziej głupiej miłości. W naszym położeniu kobieta wysoko podnieść nas może, to jest do szubienicy. Złamałeś przysięgę, a więc jak psuwał ci strzelić mogę. Kochasz Julję Lu- domską, tę niebezpieczną dewotkę, nie nasz interes, ale zemsta ci w głowie. Chwila zaś z nią rokoszy wypędzi ci z myśli przeszłość; zapomnisz czcím jesteś, i wlecisz w przepaść, z której i stu djabłów cię nie wyciągną.

Baron drżał cały, ale przyszedłszy do siebie rzekł spokojnie:

jp – Gdybym w czemkolwiek chybił naszej umowie , mógłbyś mi łeb roztrzaskać, jak bez o- .gródki za najmniejsze uchybienie z twojej strony, paózgby ci wytrysnął z pod twojej grubej czaszki. (Nie zrozumiesz nigdy mych planów. Chwile je- dnę mogłem udawać miłość dla Julii, ałem odepchną ją ze wzdardą, gdy mi już nie była po- trzebna. i dziś nawet choć zamknięta w klasztorze jeszcze mi zawadza. Czekałem na ciebie E- lwaszu, rzekł z cicha, możesz jój zamknąć o- |Czy po swojemu.

Delikatnie ? – zapytał Eneasz z uśmie-
lhem.

– Choćbyś jej wbił klin W gardło mniejsza o środek, ale ona żyć nie może. Oto dowód mej miłości dla niej.

– Dobrze baronie , zostawmy to na później, jednak jestem spokojniejszy, gdyż nabierasz trochę energii, jak z hrabiątkiera włoskiem; przekonasz się że dramat potrzebuje koniecznie tragicznego rozwiązania. Kończ prędko swoją in- trygę, bo cierpliwości niestaje.

– Jak najprędzej.

– A potem wyjeżdżamy obciążeni złotem.

– Wyjedziemy bez powrotu. .

– Puścimy się po nową zdobycz, rzekł E- neasz.

– Potrzebuję 'wypoczynku, odrzekł baron. Pracą naszą uzbierane znaczne summy, pozwolą trochę! przeżyć w spokoju.

– Tak ci się zdaje , nie wytrzymasz baronie. Świat cały się nudzi, my jedni bawimy się. Nie ch głupcy ziewają, zabobonni płaczą, mędrce wa- rjują, my jedni żyć umiemy pełnym życiem.

– Jak zechcesz, gdzie chcesz pojedziemy E- neasz, lecz tu dłużej być nie mogę. Tak mi fu duszno, ciężko , jakby jakie nieszczęście mnie gnioło.

–i Wyjazd zależeć będzie od ciebie baron ie – W kilka dni ukończę wszystko, i dalej w drogę; bądź gotów Eneasz. C Rozmowa nie długo się przeciągnęła, Eneasz podróżą, baron myślami był znużony. Wkrótce się rozstali w jak najlepszej harmonii. Zdało się że jeden i drugi śpiesznie chcą się rzucić na łoża, snem się pokrzepić. Ale cała noc przeszła na czuwaniu. Baron walczył z myślami, które mu oka zmrużyć nie dały, Eneasz aż do świtu przegawędził z Benedyktem.

Obudziło się przywiązanie i wierność do dawnych swych partów w sercu starego sługi. Powrót panicza Edwarda, rozbudził drzemiące wspomnienia dobrych czasów za ś. p. P. Starosty Ludomskiego, w którego usługach kilka* paście lat zostawał. Bolało go dzisiejsze położenie Stanisława. Zaczął stary sługa pojmować, że z przybyciem barona Wszystkie nieszczę@ sieia się zwały na dom Ludomskich; krył więG niechęć i nienawiść dla terażniejszego swego pa na. Gdy odprowadził P. Edwarda dó przygotowanych dlań pokojów * rozpoczął gawędę, któ- ra niedziw, że podsycana zapytaniami Edwar* da, stawała się coraz bardziej zajmującą. Bene- ł Intrygi

dykt po wspomnieniach dawnych czasów, opisywał charakter, sposób życia, dobrodziejstwa hojną ręką rozsiewane przez państwa Ludomskich, jak byli kochani, wielbieni od wszystkich, jak dzisiejsze ich położenie odjęło sposób do życia, kilkudziesięciu rodzinom, które ich jałmużną corocznie opatrzone, z wdzięcznością błogosławili ich codziennie. Nieraz łza stoczyła się po zmarszczonej twarzy Benedykta, nieraz westchnął, jakby z prośbą do Boga, o pomoc naduciśnionymi. Na zapytania Edwarda o barona, Benedykt mruzczał, kiwał głową, widocznie unikał tej rozmowy. Gdy Benedykt odszedł do Eneasa, Edward wsparłszy głowę na dłoni, dumiał. Słowa starego sługi brzmiały mu w uszach, drgały w sercu i przez całą noc oka zmrużyć nie mógł.

Benedykt tej nocy był nader czynny; do świtu przepędził resztkę nocy z P. Eneaszem. Dręczony myślą, iż może wdaniem się w intrygi przybyszów, przyczynił się do nieszczęścia swych panów. Walił co wiedział i co mógł się domyślić na P. barona, z podsłuchanych słów kilku, które z przyczyny mniemanej głuchoty Benedykta, nieostrożnie wyleciały z ust barona, przekonał się o jego namiętnej miłości dla Julii, dosnuł reszty w swojej wyobraźni; utworzył jakąś kredensową plotkę, która jednak w oczach Eneasa potępiła barona, a tak w głuchym ciemnym zamku, w którym grobowa cichość panowała, wszyscy czuwali, marzyli noc całą.

Nazajutrz, niby wszyscy snem pokrzepieni, niby po dobrym i miłym spoczynku, niby zspokojonym sercem i umysłem, powstali. Eneasz z Edwardem kończył ostateczne rachunki, zręcznie nadmieniając, iż pan baron doznawszy wielkich zawodów od swych wierzycieli, potrzebuje jak najrychlejszej wypłaty, a przez wrodzoną sobie delikatność nie śmie przynaglać, obowiązkiem więc powinno być pana Edwarda, użyć wszelkich środków do prędkiego uiszczenia się. Pan Edward uważał za najstuszniejszą uwagę swego opiekuna i uroczyście przyobiecał zadość uczynić żądaniu.

[Po odejściu Eneasa, wszedł baron, rozmowa się toczyła żywo; podróże, znajomość najświetniejszych towarzystw, przyjaźń z uczonymi, nastęrczały tysiące zajmujących anegdot, P. Edward był oczarowany dowcipem i rozumem barona. . Opisywał charakter sasiadów, ich wady

T"

i uprzedzenia tak dobitnymi rysy, w tak karykaturalnych kształtach, iż Pan Edward rozpędziwszy smutek z czoła, śmiał się jak dziecko.

Ale Panie Edwardzie, rzekł baron: nie sądzę że wpadłeś do domu warjatów. Oprócz filozofów, którzy po przeczytaniu jednej Chovanny Trętowskiego rezonują o wszystkich systemach, o losach ludzkości. Prócz poetów, którzy w dziesięciu wierszykach nakreślonych w sztambuchu dziwią się, że dotąd nie odlano im popiersi z bluszczem na głowie, prócz wieśniaków, którym się zdaje, że bez książek można być uczniem. Mamy kilka kobiet miłych i pięknych, nie mówię o dewotkach, które czekają z chrześcijańską pokorą kanonicy. Ale między temi koląciami wszystkich bodiakami są najpiękniejsze kwiatki. Cudna i zachwycająca Eliza, wychowanka zmarłej P. Hrabinej Orskiej przodku* je w tem gronie.

>Łatwo z twych słów można poznać panie baronie, rzekł Edward, iż jak we wszystkich gałęziach umysłowych tak i w sztuce masz pojęcie artystowskie. Uręczam, nie znając Panny Elizy, iż musi być najpiękniejszą w okolicy, gdy potrafiła pozyskać twoją pochwałę baronie.

* – Gdybym żył w średnich wiekach, z udaniem zapalem mówił baron, na jej cześć kruszyłbym kopie, z jej wstęgą poleciałbym walczyć z niewiernymi. Gdybym był poetą jak Petrarka, sonetami bym ją zasypał. A nadewszystko, gdybym był młody.*.....

I przerwał baron. Edward był młody i lubił piękne twarze, nie woda przelewała mu się w żyłach.

—■ Baronie, Laura, Beatryxa, Eleonora, Dósdemona, Ofelja, stanęły mi przed oczyma, a w każdej upatruję postać Elizy. I —Nic ci więcej nie powiem panie Edwardzie. [Chcesz, pokażę ci ją dzisiaj, pojedziemy, miła droga będzie nam służyć za spacer i rozrywkę. i Najchętniej Edward się zgodził poznać swoją sąsiadkę. Po dobrym obiedzie, po wychyleniu kilku kielichów starego wina, w spuszczonej angielskim powozie P. Edward i baron lecieli jak wicher, zostawując kłęby kurzawy za sobą. Baron bawił rozmową, wychwalał Elizę, rzucał nawet zdaleka nadzieję, że za jego wpływem P. [Edward może osiąść ten typ piękności, ten wzór cnoty. Ale na to wszystko Edward milczał. Po

1S*

tylu latach niewidzenia przypominał sobie rodzinne strony, witał się w duchu z lasami, dolinami. Krajobraz natury ożywił w nim wszystkie bolesne wspomnienia. Z daleka za lasem, gdy ujrzał wysokie topole, bielejący za nimi pałac Ludomski, łązy mu się z oczów puściły. Stał mu w myśli poczciwy starosta, wydobyl na piersi wiszący medalik, dar dany mu z błogosławieństwem, ucałował, i zmówił z rozrzwiniem krótką modlitwę. Baron się uśmiechnął i rzekł:

– Cóż to? wzniesienie pobożne ducha F&nie Edwardzie; gdy jedziemy na zaloty, ty trzepiesz pacierze. Cha, cha, cha, dziwni ludzie!

–Nie dziw się memu wzruszeniu zacny baronie, ten krajobraz tyle pamiątek ożywił w mem sercu.

– Ależ to nie -poetyczne marzenia, przerwał baron, po prostu trzepiesz pacierze, jak stara dewotka.

– O baronie! czyż ty tego nie rozumiesz, że są chwile gdzie najszczytniejsza poezya, nas nie zadowolni. Ona może zapalić serce, dać lot wyobraźni, ona czaruje, Jizacnia człeka; alę wiel-

I kie nieszczęścia, mają wyższy język, modlitwę;

któż nie czuje potrzeby ukorzyć się przed Bo- Kgiem; nie lotem poezyi, lecz na skrzydłach mo- ' dlitwy duch nasz w obec niego stanąć może. P"–Nie rozumiem Panie Edwardzie, tej apella- cyi do Nieba; gdyby was Bóg wszystkich razem I wysłuchał, dziwneby się rzeczy działy na świe- § cie. Ale cóż to za medalik? Całujesz kruszec, I to bałwochwalstwo.

•–Przestań baronie. Są rzeczy, z których się | żartować nie godzi, są rzeczy niepojęte dla wie- I lu, jedni tem pomiatają, co drudzy cenią wyżej I nad życie. Baron nieukontentowany zamilkł i pomyślał: – Głupi bigot.

Edward się zasępił, zasmucił, i rzekł do siebie: I – To człowiek (bez serca.

Rozmowa dalej zawiązać się już nie mogła.

■ Krótkie i urywane były zapytania i odpowiedzi, B gdy nasi podróżni stanęli przed pięknym pała-

■ cykiem Panny Elizy.

- Po zwykłym przywitaniu i przedstawieniu "no- 1 wego gościa, Panna Vautour zasiadła na kana- K pie, obok niej Pan baron. Elizę traf umieścić

blisko Edwarda, rozmowa ogólna szła żywo. Sztucznym skierowaniem barona, rozpadła się na dwa dialogi, na jego z Panią Vautour, i na Pana Edwarda z Elizą. Uderzył P. Edwarda Ludomskiego wyraz dobroci rozlany na jej pięknej twarzy, w oczach tkwił jakiś smutek, uprzejmy uśmiech ożywił różane usta; łatwość i naiwność w wyrażeniu najszczytniejszych myśli, a przy-tem czarny ubiór, podnosząc białość jej poci, prawie przezroczystej, czynił ją zachwycającą. Edward nie dawał upadać rozmowie. Eliza ją podsyciała zręcznie, w pół godziny, byli jakby oddawna znajomi; jakaś ufność, przychylność, o- toczyła, związała ich serca. Panna Vautour czyniła znaki baronowi, mruganiem złośliwych o- czów, iż widocznie pupilla zajęła się nowym gościem. Chcąc zasięgnąć dalszej instrukcyi od P. Trzecz, w postępowaniu swoim z Elizą, wstali oboje przechadzając się po salonie cichą wiedli rozmowę. Nie chcąc jednakże zwrócić podejrzenia z powodu tych poufałych szeptów, weszli do przyległej oranżeryi. Gdy po dziesięciu minutach nieobecności w salonie, przyzwoitość nakazywała już wrócić do zostawionego gościa, krzyki łkania Elizy doleciały ich uszów, strwożeni pośpieszyli, lecz u drzwi salonu osłupieli z zadziwienia. Eliza klęczała u nóg Edwarda, on jak trup blady, w pół zemdloną podnosił i na pięknym jej czole złożył serdeczny pocałunek. Panna Vautour, jak wściekła kotka chciała się rzucić do oczów Edwarda, baron coś napomknął o nieprzyzwoitym znalezieniu się, lecz Edward nie tracąc przytomności, rzekł z powagą:

– Niech to wzruszenie Elizy Państwa nie przeraża, nie żadna boleść, lecz niespodziewane dla nas obojga szczęście, siły jej odebrało.

Panna Vautour ze złością krzyczała na Elizę żeby odeszła, grubijańskimi słowami lżyła Edwarda, który poruszony, odpowiedział na obelgi.

– Eliza odtąd do mnie nie do was należy; wziął ją pod rękę i odprowadziwszy do jej pokoju, z nią pozostał. Wysłał człeka z oznajmieniem do barona, przepraszając go, iż towarzyszyć mu z powrotem nie może, że obowiązek jego każe mu przy Elizie pozostać, a jeśliby wypadły jakie pilne interesa, w każdym czasie zawsze go tu zastać będzie można.

Panna Vautour i baron nie mogli wyjść z zadziwienia. Domyślali się, że musiała być jakaś

tajemnica, ale nawet ich przebiegłość nic tu dojść nie mogła. Panna Vautour obiecała wszystko wysledzić i donieść, lecz baron ze smutniejszą twarzą, gniewny, przerażony, iż tak rychło Pan Edward wybił się z pod jego opieki, ze zmałconeini myślami, opuścił dom Panny Elizy.

2W® MA WSSIŚ BIB

O niech na chwilę złość się już schowa,

Rany sztyletem nie cuci, Niech choć przed zgonem zabrzmia te słowa: Wróci spokojność, wróci!

Marya. Malczeski.

Nazajutrz Eliza osłabiona wrażeniem dnia wczorajszego, skromnie lecz starannie ubrana, spoczywała na pięknym szezlongu, obok niej siedział Edward. Odrzucał grube zwoje włosów E- lizy, co za każdym poruszeniem głowy zakrywały twarz pięknej dziewicy, patrzył na nią⁴ ciągle z rozrzewnieniem, ona zaś trzymała w swej drobnej dłoni jego rękę. Nadspodziewany wypadek wczorajszych odwiedzin, wynikł z bardzo małego na pozór odkrycia. Edward zauważył na palcu Elizy takież sam pierścień, jaki od lat kilkunastu nosił na swoim ręku, a który mu przy-

pominął najboleśniejszą chwilę jego życia. Gdy na prośbę Edwarda, Eliza zmieszana pokazała mu ów pierścień i w środku obrączki wyczytał dwa imiona : Edward i Róża, i r. 18... Zdumiony, zmieszany tym odkryciem, zdjął z swej ręki takąż samą obrączkę, zająwszy obejrzeniem Eliza wydała krzyk radości i zdziwienia i upadła do nóg Edwarda. Przypomną sobie zapewne czytelnicy, jak w wigilią nadspodziewanego rozstania się Edwarda z P. Różą Rzepkowską, wręczył on jej pierścień, który miał być wkrótce ogniwem łączącym ich na wieki. Wypadki znane nam już rozdzieliły ich na zawsze. Panna Róża wzięta na • opiekę przez księżnę Berlińską, wydana została za męża za Hrabiego Orskiego, który straciwszy majątek zagranicą odjął sobie życie. Bezdzietna, chcąc jakkolwiek zastąpić uczucie macierzyńskie wzięła na wychowanie biedną sierotkę Elizę, której cały swój majątek zapisała. Ale gdy czuła się niebezpiecznie chora, na parę dni przed skonem, zawołała do swego łóżka Elizę i odkryła jej tajemnicę ciężącą na sercu, którą przed śmiercią czuła się w obowiązku wyjaśnić. Wyznała że jest jej matką, a ojcem Pan Edward Gozdawa-, iż nie mogła nigdy* dojść, mimo najsilniejszych starań, czy on- żyje, -jeśliby los wydarzył córce być szczęśliwszą! w wyszukaniu ojca, poznała go po ślubnej obrączce, z napisem Edward i Róża z wyrytym rokiem 18... i Hrabina zdjęła swoją obrączkę z wyciężonej ręki i włożyła na palec Elizy. Po kilku- przestrogach pełnych czułości i macierzyńskiego uczucia- przekazawszy wdzięczność- dla Pana Stanisława Ludomskiego, który we wszystkich- przygodach życia był jej opiekunem i obrońcą, po zlania ostatniego błogosławieństwa', które, łzę, ostatnią wycisnęło z jej oczu, z westchnieniem żalu- i nadziei, wyzionęła ducha.

Każdy teraz pojmie; krzyk zdziwienia i radości Elizy, -gdy tak niespodzianie Bóg jej zesłał ojca. Wypytywał Edward o- najdrobniejsze szczegóły z życia Róży,, jakby, tysiącami wspomnień, jej słowami najdrobniejszymi czynnymi chwilami szczęścia i boleści poplątanymi w jej życiu,, chciał wskrzesić ukochany, Różę. Każda drobnostka bez znaczenia dla obojętnych', dla niego stawała się, nieoszacowany skarbem, pośmiertną pamiątką ukochanej istoty którą w świecie uczur

Intrygi

iff'

cia nadawała jej choć sztuczne w wyobraźni życie. Nawzajem opowiadał Edward Elizie niektóre swe przygody, i jakim sposobem dziś zmienił przybrane nazwisko Gozdawy na swe właściwe, jakim dziwnym trafem odzyskał należny mu majątek. To dało powód Elizie mówić obszernie o PP. Ludomskich. Wdzięczność jej matki dla Stanisława i Julii, pamięć iż za wzór anielskiej dobroci i szlachetności, zwykła ich przedstawi nadało słowom Elizy tyle przekonania, prawdy, tyle mocy, z tak silnym uczuciem skreśliła obraz tych dwojga wyższych istot, którzy uważali to najwyższe szczęście być pomocą nieszczęśliwym, iż Edward słuchając, zawstydził się w swoim sumieniu, jakiś wyrzut okropny wstrząsł jego sercem i rzekł:

–A więc byłem oszukany. Baron i Eneus, wystawiali mi ich jak ludzi chciwych, próżnych, pałających nienawiścią dla mnie, usiłujących dowieść, że nie jestem w prawie wzięcia spadku, nie chcieli wprost odwołać się do mnie. Bóg świadkiem, że nigdy żalu nie miałem do nich w moim sercu,

– I miśc nie możesz, kochany ojcze, nie wierz słowom barona. On i Panna Yautour, usiło

wali ciągle i przedemną ich oczernić. Milczałam, ale zawsze czciłam ich w głębi duszy, co dzień modlitwę do Boga zasylałam za nimi. Ty nie- dozwolisz ojcze, aby oni byli w niedostatku, a broń Boże, aby cierpieli jeszcze z twojej przyczyny.

Eliza ucałowała rękę ojca, który z rozrzewnieniem przycisnął ją do serca, i rzekł:

– Nie zasłużyłem na tyle szczęścia Boże!

Nazajutrz Edward był w pałacu Ludomskim, jakim zadziwieniem był przejęty gdy Stanisław za jego ujrzeniem rzucił się mu na szyję, i powitał serdecznie jak brata. Z obu stron nastąpiły tłumaczenia się z win, których jeden i drugi nie miał, a intryga tylko usiłowała ich zmienić W nieprzyjaciół, chociaż ich serca w rzeczywistości braterskim uczuciem biły dla siebie. Podstępny barona coraz zaczęły się wyjaśniać. Benedykt, który przed chwilą był u Stanisława, padając do nóg wyznał, iż od dawna zauważył zbrodnicze postępowanie barona, miłość namiętną dla Pani Ludomskiej i zemstę, iż go pogardliwie odepchnęła od siebie. Wyznał iż list mniemany od Julii do Bohdana, był pisany ręką barona; że sam był świadkiem i uczestnikiem tego

podstępu. Obaj bracia w krótkich słowach opowiedzieli «sobie przeszłość całą; Edward żądał podziału swego szczęścia, uczucia dla Rbży zmieszane ze łąką boleści 'po jej stracie; nagroda długiego sieroctwa w odkryciu szczęśliwym trafem tak dobrą córkę, dały bieg ' żywy w przelaniu wszystkich wrażeń i uczuć. Ostatnie wypadki obu braci, połączone były silnym wpływem barona. Stanisław uderzony swoją wizją, wyznaniem Benedykta, słowami Edwarda, poznał szatański jego wpływ -nad sobą, postanowił zrzucić to jarzmo, bdtóło go najmocniej, iż z jego przyczyny zadał cios bolesny Julii i Bohdanowi, niesprawiedliwość względem nich dokonana, ciężąca na jego sumienia, truła Chwilę radosną powrotu Edwarda. Po długiej rozmowie., po wynurzeniu ze 5ficzerego serca najżywszych uczuć, Edward wyjechał do córki, upojony słodyczą braterskiego uczucia.

Stanisław noc całą oka zmrużyć nie mógł; wyrzut nierozumnego postępowania z Julją \ Bohdanem, kamieniem mu leżał na sercu. Jak tyto) dzień zajaśniał przez szyby, zerwał się, i kazał się wieść do pobliskiego miasteczka, gdzie przemieszkiwał Bohdan. Na przedmieściu przed wiejską chatą zatrzymał się powóz. Stanisław wpadł do słabo oświetlonej izdebki, i zastawszy Bohdana zajętego pisaniem, rzekł ze wrusze- niem:

– Bohdanie, -cnotliwy tylko przebaczać umie, winowajca ze wstydem i z wyrzutem boleści w sercu, przychodzi prosić n dłoń twoją, abyś «a znak darowania urazy, uścisnął ją jak dawniój, kiedym był godzien twej przyjaźni.

–Panie Stanisławie, odrzekł Bohdan, uraza zapomina się z przebaczeniem, ale potwarz nadaje głębszą ranę; obraza kaleczy, potwarz zabija.

Stanisław porwał go za rękę i wołał:

– Gdybyś wiedział co cierpię, nie jątrzyłbyś rany która wieczne krwawić będzie, wysłuchaj sanie wprzódy a później niech Bóg cię natchnie, jaki masz wyrok dać o mnie.

i Stanisław opowiedział, jak rzucone podejrzenie barona, zrodziło .zazdrość, jak go zniżyła aż do szpiegostwa, jak sfalszowanie listu Bohdana ido Julii wylęgło zemstę, i zerwało najświętsze z mą węzły. Bohdan przeświadczony był ona- miętnej miłości barona, poznał iż nikczemność •jego duszy., szukała zemsty w fodle intrydze;

że w tę siatkę zasnutą wpadł łatwowierny Sta-

niślaw. Obraza jego po wyjaśnieniu tych smutnych wypadków, wywołała uniewinnienie Stanisława, a wzmogła się gniewem i chęcią zemsty dla barona. Pojednanie szczerze wkrótce nastąpiło i oba zaraz udali się do klasztoru, zamieszkałego przez Panią Julję Ludomską.

Nie będziemy tu opisywać czulego, rozrzewniającego spotkania Stanisława z żoną. Serce które wiele cierpiało, które uszlachetnione boleścią, ciągle zwracało się modlitwą ku niebu, a litością ku ludziom, łatwo łączyła przebaczenia spłukało nawet ślad urazy, niewinność dźwiga każdy krzyż cierpliwie i przebacza zgodnością. Przeszłość była zapomnianą. Stanisław podwajał starań, pieczołowitości-dla żony, każdym słowem, każdym uczynkiem, chciał wynagrodzić boleść jej zadaną, Bohdan jak dawniej, był przyjacielem, bratem, lecz chęć zemsty nad baronem, zaciemniała mu jasność dnia tak szczęśliwego.

Pan Stanisław z żoną, nazajutrz wyjechali do brata Edwarda, Bohdan w kilka godzin obiecał tam przybyć, Eliza szczęśliwa iż obrót wypadków tak zgodny był z życzeniem jej serca, przyjęła Julję jak matkę. Każda odebrana pieśczoć, każda rada, sprzęgała ich dusze; tuliła się Eliza do szlachetnego serca Julii, jak konwalija pod cień pięknego krzewu, jak pisklę pod skrzydło matki.

* Gdy rozmowa słabnąć zaczęła, Stanisław nadał jej obrót nowy, czekał oddawna pory, aby mógł wynurzyć myśl swoją.

– Kochany bracie rzekł, czas abym ci zdał sprawę z dzierżanego przez tyle lat majątku, połowa jest twoją własnością. Gdyby nas los był pierwiej złączył, nie potrzebowałbyś prawnie się dopominać, przekonać się możesz z dzieła sądowego, iż nigdy ani przeciw tobie, ani przeciw słuszności twoich wymagań kroku nie uczyniłem, który w oczach moich by mnie splamił.

– Kochany Stanisławie, przerwał Edward, i tu odkrywamy nowy podstęp, baron z Eneaszem przedstawili mi rachunki na 25000 rs. wydanych na koszta prawne, które zatwierdziłem.

– Łatwo wierność nasza Edwardzie, zaufanie jakimś nieznanym włóczęgom ukarane zostały. Jam tego czarta wam sprowadził z zagranicy, słusznie że cierpię najwięcej, lecz Edwardzie przyjm mój rachunek, szczerzej się z tobą obliczyłem jak sąd i baron, prócz jednej wioski, wszystko do ciebie należy.

I podał mu papier. Eliza pobladła, patrzyła w oczy ojcu, i «ereee jej biło z niepewności,, czy myśli jej odbiły się głuchem echem o serce Oljca.

Edward nie otwierając nawet podanego sobie papieru rozdarł go i rzekł.

– Gdyby Eliza nie miała zapewnionego bytu, przyjąłbym część mi należną, ale łaska twoja Stanisławie utrzymała majątek Róży, który dziś jest mej córki własnością. My Stanisławie łobie jesteście dłużni na wieki, my rachunek ztwo- go dobrodziejstwa przed tobą i Bogiem zdawać powinniśmy. Ja dla siebie nic nie potrzebuję, bogaty jestem przywiązaniem brata i córki, szczęśliwszy jestem od was wszystkich.

–Bracie to być nie może, przerwał Stanisław.

– Tak, inaczej być nie może, rzekł Edward, na małą piędź siemi nieuszczupię twego mająku, ' wy .go lepiej, jak ja, potraficie'Użyć. Gdybym«kie- dy >co- potrzebowałprzyjdę do ciebie, jak dobrała. Daj im słowo bracie, że od tej '.chwili, .ni- gdy ani nie wspomnisz o rachunkach, \$ majątku.

Stanisław uściskał brata, Julja podała mu I rękę, a Eliza padłszy mu do nóg ze łzami za- [wołała składając ręce jakby do modlitwy.

– Boże! bądź błogosławiony, że dałeś mi tak E dobrego ojca!

Gdy wszyscy zostawali w rozczeniu, wzru- [szeni szlachetnym postępkim Edwarda, bład, . pomieszany, wleciał Bohdan, słów mu brakło, [trzął Się i wołał:

– Bóg-ukarał zbrodniarza! i dalej mówienie i mógł. Wszyscy go obścąpili, pytali „ po chwili I ciekawego oczekiwania, rzekł Bohdan.

– Dowiedziawszy się o wszystkich podłych I intrygach barona, miotany gniewem, chciałem I mu zajrzeć w bezczelne jego oczy i policzki jego K. napiętnować hańbą, z wściekłością wlatuję do K jego pomieszkania, lecz jakie było moje zdziwie- b. nie, gdy u drzwi stojąca straż wejścia mi wzbro- w niła. Pytam o przyczynę, niewiedzą,, lecz w tej- ■ że oliwili przyszedł urzędnik policyjny, badam, I a on mi rzekł z cicha. „Baron został zatrzyma- I ny! W tej chwili, na rekwizycię Rządu Austry- I jackiego wysłany zostanie pod strażą zagrani- cę. Jakież przewinienie cięży na nim? zapytałem

odpowiedział mi jeszcze ciszej. „Otrucie jakiegoś Hrabiego Orboni.”

Stanisław upadł jakby piorunem rażony, wszyscy rzucili się na ratunek, nie prędko przyszedłszy do przytomności zawołał:

– O ! biedna moja Francesko, ten łotr był zabójcą twego ojca, i ten potwór mieszkał w mo- jem sercu. Ty mnie we snach, w marzeniach moich ostrzegałaś, ja ślepy, olśniony jego rozumem, nie poznałem czarta.

Na wszystkich, to nowe odkrycie zbrodni barona okropne zrobiło wrażenie. Stan Stanisława był zatrwajający, Eliza chciała prosić pannę Vautour o prędką pomoc, gdyż widziała u niej nieraz pełno medykamentów, lecz na wzmiankę nazwiska Panny Vautour, rzekł Bohdan do Elizy.

– Nie znajdziesz ją Pani, na godzinę przed aresztowaniem barona, Eneasz w towarzystwie panny Vautour, okradłszy do ostatniego szeląga barona, wyjechali i zapewne bez powrotu.

Brak szkatułki Elizy z klejnotami, upewnił wszystkich o ucieczce awanturnicy z Eneaszem.

Doznane wrażenie tak szybko po sobie następujące, nadwerężyły zdrowie wszystkich będą-

cych ofiarami tej haniebnej intrygi, lecz zwolna czas zacierał ślady doznanych cierpień. W sercach poczciwych, w niczém nieskalanem sumieniu, jest prawdziwe źródło szczęścia, któróm zroszona droga żywota, umają się świeżymi kwiatami uczuć, i w miłości Boga i bliźnich zawsze znajdzie pociechę. Rodzina Ludomskich była szczęśliwą. Raz jeszcze zamacona była spokojność niemiłym wrażeniem. Jednego wieczora, wpół roku po tych wypadkach, gdy wszyscy zgromadzeni byli koło kominka, Bohdan przeczytał następnie, w jednym z numerów gazety zagranicznej, zawiadomienie.

„Z Wenecyi d. 20 Listopada. Wczoraj o godzinie 8-mej z rana, w przytomności władz miejscowych i tłumu zebranych mieszkańców, baron „Johann Trazc, przekonany o otruciu hrabiego „Orboni, powieszonym został.”

Dla bardzo ciekawych czytelników dodajemy: iż PP. Ludomscy i Edward z córką byli najszczęśliwsi, i dotąd podobno żyją, iż w półtora roku Bohdan ożenił się z Panną Elizą. Maciuś oska-

rzył ojca o uciężenie poddanych, sprowadził kommisję i wydarł mu majątek,
skutkiem czego pan Sędzia z gniewu umarł rażony apo- plexią. O Eneasz i pannie
Vautour, żadnej dotąd nie mogliśmy pozyskać wieści a stary sługus Benedykt, udał
się na pielgrzymkę do Częstochowy.
KONIEC.

iffimw

fi A;

rW>rMHBnrr 'BrJ^Wffw 1

Wmm^Mm